GRYF

1987
MARZEC

Nr 3
ROK VI



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA"

Nowe liryki Jerzego Dąbrowa-Januszewskiego

Autor, dziennikarz zamieszkały w Słupsku od 1976 roku, opublikował dwa zbiorki swojej poezji: „Z kamiennego wiatru", SSK „Pobrzeże" 1983, „Jesień Anny", Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie 1984 — poemat historyczny ukazujący postać księżnej słupskiej Anny de Croy, ostatniej z pomorskiego rodu Gryfitów, która 40 lat przebywała na Ziemi Słupskiej pozostając w pamięci potomnych jako opiekunka ludu słowińskiego.

Jego wiersze są publikowane na łamach prasy pomorskiej, w radiu, almanachach. Jako dziennikarz pisze o literaturze, dziejach i współczesności Pomorza.

GRYF

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

SŁUPSK ◆ MARZEC ◆ 1987 R.

W NUMERZE:

pisarce

ię ogromną popularnością
Znawcy literatury mówią
ji talentu. Przypomnijmy,
ıdaniem („Dwaj żebracy")
Gdańsku pisma kaszub-
na powodzeniem tego de-
na regionalnym konkursie
utwory dramatyczne —
ejętnie łączyła polszczyznę
o prawdziwe, dynamiczne

się pierwszy zbiór opowia-
„Miód i mleko". Potem
„Czterolistna koniczyna".
a" pisarka drukuje w od-
Morskie opublikowało je
dość" (1980), „Mój dom"
dla twórczyni i wydawcy
Niedawno w „Pomeranii"
dotyczących lat powojen-
Czerwone róże". Wypada

an z całych Kaszub, cenią
ming tak żarliwie, z pasją
nizacją, o pracy jako pod-
ym szansę przetrwania,
uzmie przejawiającym się
lkiej Ojczyźnie — Polsce.

a nagrodą Stolëma. Nato-
Kultury w Słupsku, odby-
lomu z okazji przyznania
ka Zrzeszenia Kaszubsko-
trzydziestoletnim okresie
ciorgu swoim wybitnym
le kierownictwa tej orga-
Józefem Borzyszkowskim.
wił twórczość Anny Łaj-
acje, kwiaty od przedsta-
Słupsku. W części arty-
ka i chór oddziału Zrze-

u Głównego oraz oddziału
ki dr inż. Czesław Prze-
zacji na Ziemi Słupskiej.
(wa)

PO RAZ PIERWSZ

Nowe liryki Jerzego Dąbrowa-J

Autor, dziennikarz zamiesz
dwa zbiorki swojej poezji: „Z
„Jesień Anny", Zrzeszenie K
ryczny ukazujący postać ks
z pomorskiego rodu Gryfitów,
pozostając w pamięci potomn

Jego wiersze są publikow
almanachach. Jako dziennikar
ności Pomorza.

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże" w Słupsku

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofa 1, tel. 283-13, 238-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula Mączka, Andrzej Szulc.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 266-08) i Elżbieta Poturaj — sekretarz i oprac. techniczne.

Na okładce:

— *Zimowe morze — piękne, ale groźne*

— *Wiele kontrowersji wzbudza elewacja Człuchowskiego Domu Kultury*

WARUNKI PRENUMERATY:
cena prenumeraty: kwart. 45,— półr. 90,— rocznie 180,—

1. Dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w mieście wojewódzkim i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach,
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

2. Dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:
— osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,
— osoby zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora.
Wpłat należy dokonywać na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch".

Terminy przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny,
— do dnia 1. każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 700 egz. Format B-5. Zam. 278. Druk barwnej okładki: Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. M-8.

Cena 15 zł

W hołdzie wspaniałej pisarce

ANNA ŁAJMING od wielu lat cieszy się ogromną popularnością wśród rzesz czytelników Jej książek. Znawcy literatury mówią i piszą o fenomenie pisarskim, o erupcji talentu. Przypomnijmy, że Anna Łajming zadebiutowała opowiadaniem („Dwaj żebracy") w 54 roku życia na łamach ukazującego się w Gdańsku pisma kaszubskiego o nazwie Kaszëbe w 1958 roku. Zachęcona powodzeniem tego debiutu napisała skecz pt. „Parzyn" wyróżniony na regionalnym konkursie literackim. Później kolejne, coraz dojrzalsze utwory dramatyczne — „Szczescë", „Gdzie jest Balbina", w których umiejętnie łączyła polszczyznę literacką z dialektem kaszubskim tworząc bardzo prawdziwe, dynamiczne obrazy z życia kaszubskiej wsi.

W 1971 roku, nakładem Zrzeszenia, ukazuje się pierwszy zbiór opowiadań (powóstek) Anny Łajming zatytułowany „Miód i mleko". Potem następne: „Symbol szczęścia", „Od dziś do jutra", „Czterolistna koniczyna". Jednocześnie na łamach miesięcznika „Pomerania" pisarka drukuje w odcinkach swoje wspomnienia. Wydawnictwo Morskie opublikowało je w trzech tomach: „Dzieciństwo" (1978), „Młodość" (1980), „Mój dom" (1986). Ta trylogia wspomnieniowa okazała się dla twórczyni i wydawcy ogromnym sukcesem na rynku czytelniczym. Niedawno w „Pomeranii" zakończono druk cyklu kolejnych wspomnień, dotyczących lat powojennych w Słupsku i okolicy, zatytułowanych „Czerwone róże". Wypada czekać na wydanie książkowe.

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, rzesze krajan z całych Kaszub, cenią sobie tę wspaniałą twórczość, w której Anna Łajming tak żarliwie, z pasją głosi prawdę o walce ludu pomorskiego z germanizacją, o pracy jako podstawowym bo najskuteczniejszym orężu dającym szansę przetrwania, przezwyciężenia przeciwności, wreszcie o patriotyzmie przejawiającym się w trwaniu Małej Ojczyzny kaszubskiej przy Wielkiej Ojczyźnie — Polsce.

Przed laty uhonorowano pisarkę zrzeszeniową nagrodą Stolëma. Natomiast 20 lutego br. w sali Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku, odbyła się uroczystość wręczenia Annie Łajming dyplomu z okazji przyznania Jej przez Zrzeszenie tytułu Honorowego Członka Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Ten najwyższy wyraz uznania, w trzydziestoletnim okresie istnienia, Zrzeszenie przyznało dotychczas pięciorgu swoim wybitnym członkom. Na uroczystości przybyli przedstawiciele kierownictwa tej organizacji na czele z Prezesem ZG ZK-P doc. dr. Józefem Borzyszkowskim. Red. Jerzy Dąbrowa-Januszewski obszernie omówił twórczość Anny Łajming. Sędziwa jubilatka otrzymała liczne gratulacje, kwiaty od przedstawicieli instancji wojewódzkich PZPR i ZSL w Słupsku. W części artystycznej z koncertem wystąpiła kapela kaszubska i chór oddziału Zrzeszenia w Jasieniu.

Przed uroczystościami przedstawicieli Zarządu Głównego oraz oddziału Zrzeszenia w Słupsku, przyjął Wojewoda Słupski dr inż. Czesław Przewoźnik, zapoznając się z działalnością tej organizacji na Ziemi Słupskiej.

(wa)

Na poboczu

A może bliżej

JAN KOWALSKI

Nie łatwo patrzeć

na degradację w hierarchii tych wartości, które wiążą się z kulturą. Coraz częściej jednak zaczynam się zastanawiać nad przyczynami tego stanu, a w nich nad winą wszystkich oficerów i szeregowców życia kulturalnego (mam nadzieję, że pacyfiści wybaczą mi tę przenośnię, lecz używam jej celowo). Jakkolwiek jednak rozpatrywalibyśmy rangę społeczną tego zjawiska, nie istnieje ono w oderwaniu od rzeczywistości, a przynajmniej takich jej elementów jak ekonomia, historia czy ideologia. Chociażby te trzy składniki naszej codzienności w sposób oczywisty wpływają na podrzędność funkcji, jakimi obarcza się nasze życie kulturalne. Tej sytuacji nie zmienią szumne hasła, deklaracje, bogate programy rozwoju i na wyrost przykrojone plany. Kultura zawsze służy społeczeństwu i nigdy nie bywa odwrotnie. Zdaję sobie sprawę z niepopularności tego twierdzenia wśród twórców i działaczy kultury. Wychodząc jednak z innego założenia musielibyśmy ciągle prawić sobie komplementy, a na zewnątrz pozwalać na poklepywanie siebie po plecach. Ale nawet jeżeli zdecydujemy się na inną definicję to będzie to bezwzględny bunt i ułańska szarża, bo wówczas nie stać nas na pokorę. Jestem przekonany, że brak pokory wobec historii czy ideologii, doprowadził do ich ignorancji i niedoceniania, a w konsekwencji do niezgody na ich „rolę" w budowaniu kultury. Było to równoznaczne z wykopaniem wilczych jam na własnych ścieżkach. Przykłady tego można by mnożyć, lecz powinien wystarczyć jeden.

Nie trzeba być wielkim ekonomistą, by — nawet na własnej skórze — poznać prawa rządzące rozdziałem szczupłych środków finansowych. W momencie niedostatku pieniędzy i środków na zaspokojenie potrzeb, nie można podejmować innych decyzji jak połowiczne. Bezlitosne prawo „rosnącego apetytu w miarę jedzenia" musi w takiej sytuacji szybko dać znać o sobie. Tym bardziej w kulturze. Ilustracja tego nie wymaga zbyt dalekiego spoglądania — wystarczy...

zajrzeć na własne podwórko.

Słowa kryzys używano w publicystyce już tyle razy, że cokolwiek by do niego dodać, będzie już tylko powtórzeniem. Jednak zjawisko, które się pod nim ukrywa dotknęło również kultury, a najbardziej uwidoczniło się na obszarze nazywanym zwykle bazą. Nie jest przecież dla nikogo tajemnicą, że poza listą inwestycji priorytetowych, żadnych innych prowadzić nie można. Przynajmniej ze środków będących dotacją ministerialną. Jedyną furtką, jaka się tutaj otwiera jest budżet terenowy. Nic też dziwnego, że na przestrzeni ostatnich lat oddano społeczeństwu miasta i województwa jedynie salę kameralną Teatru Dramatycznego i Orkiestry Kameralnej, Miejski Dom Kultury w Człuchowie, a w stadium realizacji znajduje się Młodzieżowe Centrum Kultury w Słupsku. Dużo to czy mało? Jak na potrzeby bardzo mało, jak na możliwości — cud, że aż tyle. Nowych placówek powstało znacznie więcej w wyniku przeprowadzonych remontów i adaptacji. Szczupłość środków otrzymywanych przez województwa na remonty (nawet gdyby było to 200 mln, to i tak nie obsłużyłoby rejestru potrzeb), ograniczone moce przerobowe i niedostatki zaopatrzenia rynku materiałów budowlanych, każdy remont rozciągają w czasie do granic wykraczających poza wszelką przyzwoitość. Nie ulega wątpliwości, że popełnia się błąd. Nie jest to wyłącznie wina złego wykonawstwa i niskiej jakości materiałów budowlanych. Błąd popełnia się znacznie wcześniej. Pod wpływem nacisków terenowych organów administracji państwowej wywieranych na Urząd Wojewódzki, następuje dystrybucja środków finansowych w myśl zasady „każdemu po trochu". Tym sposobem zaspokojony zostaje pierwszy apetyt niemal wszystkich łaknących. Ich presja jest tak silna, że mało ważne stają się argumenty „na nie" w postaci niekompletnej jeszcze dokumentacji, braku perspektywicznego planu działania czy nawet poważnych wątpliwości co do sensu remontowania danego obiektu. Wszystko to — według wnioskodawców — musi być zrobione i to teraz, dzisiaj, jak najszybciej. Tymczasem im mniej środków, tym w dalszą przyszłość winno wybiegać...

spojrzenie inwestora i decydenta.

W przypływie dobrego humoru wywołuję na ekranie mojej wyobraźni widoki perspektywicznie pomyślanych i zrealizowanych centrów kultury, załóżmy w Bytowie, Sławnie czy Lęborku. W każdym z nich jest wspaniałe miejsce na bibliotekę z czytelnią, sale widowiskową z zapleczem, salę klubową i specjalistyczne gabinety — oczywiście wyposażone jak należy — a cały budynek otacza wspaniała infrastruktura z placami gier i zabaw dla dzieci, miejscami aktywnego wypoczynku dla dorosłych — zaprojektowanymi przez miejscowych plastyków. Szkoda, że to tylko sen? Ależ on wcale nie wyprzedził zbyt daleko rzeczywistości. Wystarczy odbyć małą wycieczkę do Człuchowa i odwiedzić Miejski Dom Kultury. Jest to jedna z tych placówek, która spokojnie może oczekiwać wejścia w XXI wiek.

Aby ten sen stał się rzeczywistością w szerszym wymiarze niż człuchowska, trzeba zerwać z praktyką rozdrabniania finansów przeznaczonych na remonty i modernizacje. Tym bardziej, że drobne kwoty najczęściej podtrzymują tylko substancję budowlaną, a niepewność co do kontynuowania dotacji w latach późniejszych w znacznym stopniu ogranicza planowanie szerszego zakresu robót.

Zdaję sobie sprawę, że dotychczasowa praktyka wycisza głosy niezadowolenia z negatywnie rozpatrzonych wniosków o przydział środków oraz poprawia statystykę ilości remontowanych i oddawanych do użytku placówek kultury. Dlaczego jednak nie podjąć próby skupienia środków finansowych na kilku zadaniach (placówki, w których już teraz działalność ograniczona jest bazą), których realizacja gwarantowałaby przyszłe sukcesy w postaci znacznego rozszerzenia działalności kulturalnej w trwałym i perspektywicznie pomyślanym obiekcie?

Cóż, myślę, że zwykliśmy się zadowalać półśrodkami, a dewiza „myślmy o przyszłości dzieci i wnuków" jest aktualna tylko w życiu i budżecie rodzinnym.

Można by postawić znak zapytania...

przy sensie tego kruszenia kopii o bazę kultury. Najważniejsza przecież jest działalność, jej zasięg i rozmach, liczba ludzi uczestniczących w tworzeniu i konsumpcji dóbr kulturalnych, a nie wszystko porządek w papierach wieńczących każdy przejaw życia placówki, boć to one przecież poddawane są kontroli.

Ileż to razy w ciągu mniej lub bardziej oficjalnych wizyt bardzo ważnych i trochę mniej ważnych osób, można usłyszeć głosy na temat braku śladów działalności w tak pięknej sali na blisko 200 osób. Rzeczywiście! Przecież w czterech rogach sali cztery różne sekcje winny mieć swój kącik, a środek powinien być zarezerwowany na próby zespołu folklorystycznego na przemian z teatralnym i muzycznym. W sobotę generalne sprzątanie i zarobkowa dyskoteka, bo przecież trzeba zdobyć trochę funduszy na codzienne mazanie pędzlem czy dłubanie w drewnie (że o bardziej wyrafinowanych czynnościach już nie wspomnę). W niedzielę znów sprzątanie i rozkładanie kącików! Oby tylko na całą zimę koksu starczyło!

Szkoda, że to nie jest śmieszne. Stawiać nowego nie można, remontami łata się dziury, a jeżeli nawet zdarzy się coś więcej (Sławieński Dom Kultury czy Ośrodek Teatralny „Rondo"), to nie do końca — zabraknie, na przykład, pieniędzy na właściwe wyposażenie. Może rzeczywiście dobrze byłoby zrobić tylko kilka rzeczy, ale za to dobrze? Jesteśmy za biedni, by być rozrzutni i jeżeli mamy w coś inwestować, to czyńmy to z myślą o XXI wieku. To przecież już tylko 14 lat.

■

PREZENTACJE

Spokój parków, gwar plaży, tłum ulicy...

Zniszczony Zamek Książąt Pomorskich, wokół rozsypane gruzy dawnego dziewiętnastowiecznego śródmieścia Słupska — to zdjęcie zrobione w 1948 roku przez nieżyjącego już jednego z pierwszych mieszkańców wyzwolonego Słupska Witaliusza Mojsiejenkę widnieje w wielu prospektach, albumach, obiegło kilkanaście wystaw związanych z rocznicami miasta. Później Witaliusz Mojsiejenko towarzyszył pierwszym słupszczanom odgruzowującym dzisiejsze ulice: Mostnika, Plac Mariacki, Zawadzkiego. Na kolejnych reprodukcjach historycznych zdjęć pochody pierwszomajowe na ulicach Słupska, uruchamianie fabryk, zakładów pracy, otwarcie sklepów. Zamiłowanie pierwszego słupskiego fotografika udzieliło się innym. Do **Witaliusza Mojsiejenki** dołączyli w latach pięćdziesiątych między innymi **Tadeusz Nosal, Zbigniew Polański.** Niewielu dysponowało własnymi aparatami fotograficznymi, które w tamtych latach były luksusem, a już tylko nieliczni posiadali powiększalniki i materiały fotograficzne. Wszyscy byli członkami Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, spotykali się raczej towarzysko, okazjonalnie. Często udzielał pierwszym fotografikom Słupska gościny Tadeusz Czapliński prowadzący ówcześnie teatr lalek.

— 14 marca 1963 roku Tadeusz Nosal skupił wokół siebie 17-osobową grupę fotografików — wspomina jeden z najstarszych członków Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego Jerzy Czerwiński. — W Urzędzie Spraw Wewnętrznych WRN w Koszalinie towarzystwo zarejestrowano. Mimo że dorobek fotografików, którzy wstąpili do towarzystwa był dość znaczny i zyskał aprobatę mieszkańców Słupska nie mogliśmy „dorobić się" własnej siedziby. Wiedliśmy życie tułacze. Pierwszą siedzibą STF było pomieszczenie w ówczesnym Powiatowym Domu Kultury przy Placu Armii Czerwonej (dzisiejsza siedziba NBP). Następne locum to także dom kultury, tym razem przy ul. Wałowej. Przeprowadziliśmy się później dzięki życzliwości słupskich działaczy kulturalnych: **Jarosława Bukszowanego** i **Stanisława Markuna** do piwnicy jednego z domów przy ul. Piekiełko gdzie Spółdzielnia Mieszkaniowa „Kolejarz" miała swój klub. Gościna ta jest długotrwała, korzystamy z lokalu „Kolejarza" do dzisiaj. Ciasno, warunki trudne. Egzystujemy w jednym lokalu z fajczarzami, szaradzistami i innymi hobbystami.

W latach sześćdziesiątych znacznie ożywiła się działalność STF. Wstąpili do towarzystwa nowi członkowie, między innymi **Czesław Wysocki, Mieczysław Twardowski.** Zaczęto organizować liczne konkursy fotograficzne i wystawy. Główne miejsce wśród prac fotograficznych zajmowały zdjęcia Słupska i regionu. Interesująco zaprezentowano wystawy: „20 rok wyzwolonego miasta Słupska", „Moje miasto w 25-lecie", „Ziemia Słupska w XXX-lecie", „Zabytki, pomniki, miejsca pamięci narodowej województwa słupskiego", „Słupskie rzemiosło w fotografii". Wystawa „Ziemia słupska w fotografii", eksponowana w Łodzi, przyniosła członkom STF wysokie wyróżnienie — Złoty Medal Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego. Warto również podkreślić, iż Słupskie Towarzystwo Fotograficzne w latach 1976—1981 było jednym ze współorganizatorów Słupskich Plenerów Fotografików Amatorów Krajów Nadbałtyckich. Również w czasie Festiwali Pianistyki Polskiej w Słupsku przedstawiane były migawki i wystawy festiwalowe, których autorami byli członkowie towarzystwa. STF prowadziło nie tylko działalność w Słupsku i okolicach, lecz było również organizatorem wystaw ogólnopolskich „Dziecko w fotografii", „Muzyka w fotografii". Każdy rok działalności STF kończy wystawa podsumowująca całoroczny dorobek.

— Staramy się być świadkami ważnych dla miasta i regionu wydarzeń, obserwatorami życia codziennego ale... nie biernymi — stwierdza jeden z długoletnich członków STF **Jan Maziejuk. — Aby osiągnąć sukces krajowy lub na wystawie międzynarodowej trzeba się sporo napracować. Świeże spojrzenie, dobra fotografia to kwestia nie kilku a kilkunastu lat poszukiwań. Nakreśliliśmy sobie w towarzystwie fotograficznym zadania, które sformułowaliśmy następująco: „Musimy wniknąć do zakładów pracy i w tłum ulicy Słupska, w spokój parków i gwar plaży, coraz ściślej wiązać się z życiem i propagować jego piękno środkami wyrazu, jakimi dysponuje fotografia, środkami, które są przejrzyste, zrozumiałe dla wszystkich ludzi.**

Jan Maziejuk oraz jego koledzy z towarzystwa fotograficznego niejednokrotnie uczestniczyli w wystawach krajowych i zagranicznych przywożąc nagrody wyróżnienia pochwały. Wiele laurów w swym fotograficznym dorobku zebrali między innymi:



Jan Maziejuk: — Staramy się być świadkami ważnych dla miasta i regionu wydarzeń, obserwatorami życia codziennego, ale...

Czesław Cekała, Jerzy Czerwiński, Stanisław Markun, Mieczysław Twardowski, Mirosław Włodkowski, Grzegorz Tupajka i **Ryszard Wiśniewski.** Za szczególne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury przyznano Słupskiemu Towarzystwu Fotograficznemu dyplom ministra kultury i sztuki, medal „Za zasługi dla miasta Słupska" i inne wyróżnienia.

Słupskie Towarzystwo Fotograficzne wkracza w 25. jubileuszowy rok działalności. Miniony, poprzedzający jubileusz rok 1986 był pomyślny dla słupskich fotografików. Powiększyło się grono członków towarzystwa o sześć osób — amatorów reprezentujących różne środowiska — robotników, pracowników umysłowych, działaczy społecznych. W konkursie marynistycznym pod hasłem „Bałtyk morzem pokoju" członek STF Mirosław Włodkowski zdobył nagrodę (w NRD), a Czesława Cekałę wyróżniono w ogólnopolskim konkursie pod hasłem „Na szlaku".

— Startujemy pomyślnie do jubileuszowego roku, ale nadal nie bez kłopotów — mówi obecny prezes Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego **Adam Jaworski. — W 1985 roku otrzymaliśmy decyzję prezydenta Słupska o przyznaniu siedziby z prawdziwego zdarzenia, jednakże od wydania decyzji do jej realizacji droga daleka. Dzięki przychylności Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego mamy fundusze na wyposażenie nowego lokalu. Ma to być pomieszczenie w jednym z budynków przy ul. Jaracza. Liczę, że w roku jubileuszowym wreszcie odbędzie się ta oczekiwana 25 lat przeprowadzka. Inny nasz kłopot to zaopatrzenie w materiały, które w Słupsku jest bardzo ubogie. Łatwiej kupić w Bytowie czy Lęborku. W Słupsku już o czwartej nad ranem w dniu dostawy ustawia się kolejka. Miasto liczy prawie 100 tysięcy mieszkańców, a wśród nich setki osób posiadają aparaty fotograficzne. Chodzi mi o to, by zarówno zrzeszeni jak i niezrzeszeni fotograficy amatorzy mieli szansę wykazania swoich umiejętności. Organizujemy wystawy, konkursy fotograficzne. Na ten cel potrzeba znacznie więcej i to specyficznych materiałów. Przygotowanie każdej imprezy pochłania mnóstwo czasu i wysiłków skierowanych nie na ulepszanie pracy a... szukanie materiałów pa sklepach okolicznych województw.**

Fotografowanie — jak powiedział Bronisław Schlabs — jest wyrazem przeżyć, powiększaniem obszarów wrażliwości, myśli, widzenia, pracą, która sprawia przyjemność. Oby w następnych latach działalności udawało się słupskim fotografikom to osiągnąć.

EWA CZINKE

Na zaproszenie Miejskiego Domu Kultury w Człuchowie gościła w Polsce międzynarodowa grupa teatralna Clownkompott. Zespół przyjechał z Kopenhagi. Jednak każde z czwórki aktorów tworzących teatr pochodzi z innego kraju. Tinna Ingelstam jest Szwedką, Kristin Rode urodziła się w Norwegii, Wolfgang Weiser przyjechał do stolicy Danii z Niemiec Zachodnich i tylko dla Martina Bronsa Kopenhaga jest miastem rodzinnym.

Cześć, nazywamy się Clownkompott

Mieszkają razem. Razem też uczą się teatru i wspólnie go przeżywają. W przyszłości ma on stać się dla nich sposobem na życie i źródłem utrzymania. *Nie będzie to łatwe. Wiele jeszcze musimy się nauczyć. Właściwie dopiero rozpoczęliśmy swoją teatralną przygodę i stoimy na początku drogi. Dokąd nas ona zaprowadzi? Trudno dzisiaj przewidzieć. Marzymy o stworzeniu zespołu uprawniającego teatr na wysokim, profesjonalnym poziomie* — stwierdzili zgodnie aktorzy.

Młodzi adepci sztuki mimu i clownady odwiedzili nasz kraj po raz drugi. W maju 1986 roku byli uczestnikami Bałtyckiego Forum Teatrów Niesfornych i członkami kilkunastoosobowego zespołu The Commedia School — prywatnej szkoły teatralnej Ole Brekke. Wystąpili wówczas w kilku miastach województwa słupskiego i koszalińskiego. Po powrocie do Danii, kiedy okazało się, że ich dalsza nauka w Królewskiej Szkole Błaznów jest niemożliwa, postanowili podjąć trud przygotowania w niewielkim składzie własnego przedstawienia. Tak powstał Clownokompott i jego pierwszy, samodzielny spektakl. Zanim teatr trafił do Polski prezentował z powodzeniem swój program w krajach skandynawskich oraz Republice Federalnej Niemiec. Grupa występowała w domach dziecka, szkołach i przedszkolach. Zdobywała teatralne doświadczenie, uczyła się sceny i publiczności. Clowni wzbogacali swój warsztat i pracowali nad kształtem przedstawienia, które ulegało ciągłym przeobrażeniom i modyfikacjom. Dla zespołu stawiającego pierwsze kroki na drodze do artystycznych sukcesów był to okres teatralnej „nauki chodzenia". Kolejnym jej etapem stał się kontakt z Polską publicznością.

Clownkompott wystąpił dla dzieci i młodzieży człuchowskich szkół podstawowych i średnich. Program zespołu mogli także oglądać dorośli mieszkańcy miasta na pożegnalnym przedstawieniu tuż przed wyjazdem teatru do Kopenhagi. Był to zresztą nie tylko ostatni występ clownów w Polsce. Po powrocie do Danii grupa zawiesiła na kilka miesięcy działalność. Martin Brøns podjął pracę, aby zarobić na dalszą naukę w The Commedia School. Rok studiów w niej kosztuje każdego ze słuchaczy 16 tys. koron. Tinna Ingelstam postanowiła kształcić swoje aktorskie umiejętności w Stanach Zjednoczonych i współpracować tam z jednym z tzw. wolnych teatrów. Kristin Rode powróciła do rodzinnej Norwegii, a Wolfgang Weiser zajął się doskonaleniem swoich niemałych już umiejętności żonglerskich i akrobatycznych. Spotkają się w Kopenhadze za pół roku. Mają wówczas zamiar kontynuować przerwaną naukę w szkole Ole Brekke.

Gospodarzami pobytu Clownkompott w Słupsku byli aktorzy teatru „Stop". Dwa spektakle skandynawskich clownów prezentowane w Słupskim Ośrodku Teatralnym przywiodły umiejącą się bawić publiczność. Potrafiła ona, mimo bariery językowej, nawiązać z aktorami tak niezbędny dla powodzenia spektaklu kontakt. Sprzyjał on dobrej zabawie po obu stronach sali — na widowni i na scenie. Podobnie było podczas przedstawień w Człuchowie i występów teatru w województwie bydgoskim.

Każde przedstawienie Clownkompott na nowej scenie poprzedzane było, często długim „oswajaniem" się z jej przestrzenią i specyficznym klimatem. Służyły temu wspólne zabawy i ćwiczenia. Dla postronnego obserwatora owego „oswajania" mogły się one wydać niewiele znaczącymi zabiegami. W rzeczywistości jednak były niezbędne dla wzajemnego odnajdywania się aktorów w czasie spektaklu w przestrzeni, którą wcześniej poznali i zbudowali. Na kilka minut przed wyjściem do publiczności clowni zamykali się w garderobie, aby tam, w sobie tylko wiadomy sposób skutecznie się skoncentrować. Kiedy uchylały się drzwi pomieszczenia trudno było w wychodzących z niego osobach odnaleźć Tinnę, Kristin, Martina czy Wolfganga. Pojawiały się natomiast postacie z clowandy: Gullo, Sissi Bri, Victor i Pepé.

Clownada jest formą teatru niezwykle rzadko goszczącą na zawodowych i nieprofesjonalnych scenach w Polsce. Nie wszyscy potrafią znaleźć w niej głębsze wartości. Chociaż tylko pozornie służy ona wyłącznie zabawie. Może także — używając prostych środków — uczyć i wychowywać. Wrażliwy widz dostrzeże z łatwością w programie clownów rodzące się na scenie najprostsze uczucia. Zauważy powstające konflikty. Jest bowiem w clownadzie miejsce na miłość i przyjaźń, nienawiść, zazdrość i zdradę. Jak twierdzą aktorzy Clownkompott ta forma teatru jest bardzo bliska naszemu codziennemu życiu — bez względu na kraj w którym mieszkamy, uczymy się, pracujemy. Można z nią dotrzeć do widza w każdym wieku. Najłatwiej do młodej publiczności. Dzieci bowiem na całym świecie reagują otwarcie i spontanicznie. Nieskrępowane stereotypowym i konwencjonalnym myśleniem są najdoskonalszą widownią. Warto dla niej grać i cieszyć się z nią wspólnie przeżywanym spektaklem. Z dorosłą widownią jest nieco inaczej. Często zamknięta, nieufna i skrępowana niechętnie poddaje się temu co proponują aktorzy. Chociaż i ona najczęściej ulega staraniom clownów i w miarę upływu czasu chętniej i szczerze się śmieje.

Podczas pobytu Clownkompott w Człuchowie zrodził się pomysł, aby w niedalekiej przyszłości zorganizować w tym mieście — dysponującym dobrą bazą kulturalną i gronem operatywnych działaczy — Międzynarodowe Spotkania Clownów połączone z warsztatami specjalistycznymi dla instruktorów. Byłaby to doskonała okazja do zaszczepienia clownady na naszym rodzimym gruncie i zainteresowania nią animatorów amatorskiego ruchu teatralnego — przynajmniej na Pomorzu Środkowym.

Sympatyczna czwórka młodych clownów z Kopenhagi zapowiedziała ponowny przyjazd do Człuchowa w roku przyszłym. Chcą wówczas odwiedzić także inne miasta województwa słupskiego. Obiecali przywieźć wiele nowych i ciekawych pomysłów na dobrą zabawę. Miłośnikom tej formy teatru, których w naszym województwie nie brakuje, pozostaje zatem czekać. Natomiast Miejskiemu Domowi Kultury w Człuchowie wypada życzyć kolejnych, udanych kontaktów z zagranicznymi teatrami. Pierwszy krok został już zrobiony.

GRZEGORZ JANOWCZYK

O kulturze słupskiej pisali...

Rozstrzygnięty został konkurs twórczości ludowej i pamiątkarskiej ogłoszony w ub. roku przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Wystawa pokonkursowa eksponowana była w salach zamku. Są to 452 prace 82 artystów — wybrane z najlepszych, m. in. hafty, rzeźby, malarstwo, wyroby z bursztynu, bajecznie kolorowe ozdoby choinkowe, lalki w strojach regionalnych.

Konkurs zorganizowano po raz szesnasty. Co daje on twórcom i organizatorom, czy jest ludziom potrzebny, co inspiruje autorów do pracy i jaka tematyka dominuje, jakie są kryteria uczestnictwa w konkursie. Na te i inne pytania próbuje odpowiedzieć Jolanta Nitkowska w rozmowie z komisarzem konkursu opublikowanej pt. „Piękno małych przedmiotów" („Zbliżenia", nr 3).

„Pierwsze konkursy twórczości ludowej zalewały motywy sakralne. Dziś bardzo dużo jest tematyki obyczajowej, scenek rodzajowych, obrazków z życia. Coraz odważniej pojawia się tematyka historyczna, którą twórcy uznają za istotny sposób powiązania własnego talentu ze sprawami regionu. Przeszłość i teraźniejszość regionu stała się dla wielu twórców ciekawym źródłem inspiracji. Warsztat zmienia się z roku na rok. Są tacy uczestnicy, jak chociażby tegoroczny laureat — Bogusław Makowski, który w pierwszych konkursach nie zdołał się nawet zakwalifikować do wystawy. Nie zrezygnował, uczył się, ciągle czegoś nowego próbował. Wreszcie odnalazł własne środki wyrazu, indywidualny, niepowtarzalny styl i... w tym roku bez wahania przyznano jego pracy najwyższą nagrodę".

W związku z berlińską rocznicą 750-lecia, która mija w tym roku, by nie pozostać w tyle za prasą, spieszę z przedstawieniem Czytelnikom fragmentów historii tego miasta. Wybrałam oczywiście tylko te fragmenty, które moim zdaniem, dają pewne wyobrażenie o historii tego regionu zaodrzańskiego na przestrzeni wieków i jej polskiej percepcji, zasługującej z sąsiedzkiego punktu widzenia na zainteresowanie. Poza tym historia może być również uważana za suplement do pytań, które stają się okazją do wznowienia starej dyskusji na temat sąsiedztwa, rangi i znaczenia zachodniej Słowiańszczyzny w dziejach polskich.

750-lecie Berlina

URSZULA MĄCZKA

Czym był i jest dla nas Berlin? Pytanie to brzmi może banalnie, jednakże — użyte w sensie ogólnym — stanowi punkt wyjścia zainteresowania historią miasta i regionu oraz jego odniesień do współczesności.

Dwa okresy historyczne najbardziej przykuwają dziś naszą uwagę. Pierwszy — to okres naszych dziejów w strefie nadodrzańskiej oraz losy naszego kraju i słowiańskich narodów za Odrą na tle europejskich konfliktów — szczególnie od początku wojen Mieszka I, poprzez czasy Chrobrego, B. Krzywoustego i zwierzchnictwa jego syna nad Pomorzem Zachodnim — aż do czasów lennej zależności od Brandenburgii. Drugi okres — to ostatnie lata, począwszy od 1945 roku.

W tradycji historycznej rodzimej ludności Pomorza Zachodniego — i nie tylko w jej tradycji — Berlin na ziemi barnimskiej był grodem słowiańskim. Ale nie z fantazji, hipotez i domysłów, a z nielicznych, co prawda, lecz pewnych przekazów historycznych kształtuje się odległy obraz starego miasta.

Ustalono, że Berlin powstał z dwóch osad słowiańskich: Kolna (Cholna, Chełmna) — wzgórza wyłaniającego się z wód Szprewy oraz Berolina (od berła, kija) — drewnianego mostu łączącego wzgórze z prawym brzegiem Szprewy. (Teren obfitował w błota, które jeszcze Napoleon nazwał słowińskim piątym żywiołem). Tak więc przetrwała najdawniejsza i dziś nie wzbudzająca zastrzeżeń językoznawców wykładnia nazw: Kölln i Berlin, które z języka słowiańskiego przejęli Niemcy. Berlin powstał zatem z dawnego słowiańskiego rdzenia i jest przedłużeniem osad pierwotnych: Kolna i Berolina. Zresztą u Słowian bardzo rzadko zdarza się w średniowieczu zakładanie miast ex nihilo. Również Berlin jest starszy niż jego akt fundacyjny pochodzący z 1237 roku.

Jednocześnie godzi się nawiązać do słów Adama bremeńskiego, który napisał: *część Słowiańszczyzny za Odrą, ani obyczajem, ani mową nie różni się od pozostałej.* Te lingwistyczne spostrzeżenia bremeńskiego kronikarza niemal sprzed tysiąca lat potwierdziła także nauka współczesna. Z kultury plemion połabskich zachowały się zabytki ich słownictwa i nazwy geograficzne najdalej na Zachód wysuniętego plemienia Drzewian. Stwierdzono, że z około trzech tysięcy zachowanych wyrazów drzewiańskich przeszło osiemdziesiąt procent zgadza się całkowicie z wyrazami polskimi co do ich słowotwórczej budowy i znaczenia. Podobną zgodność wykazują mejscowe nazwy polskie, obodrzyckie, wieleckie i plemienia Szprewian, które w początkach XII wieku zostało podbite przez Brandenburgię.

Szczepy te należały do lechickiej grupy Słowian Zachodnich — tej samej co Polacy — łącznie i załabskimi Drzewianami. Nauka polska zgromadziła wiele dowodów na to, że Słowianie zamieszkiwali ziemie daleko na Zachód — aż po Łabę i Salę, w ciągu wielu dziesiątków stuleci, co najmniej od 4 000 lat.

W dziejach Słowian zachodnich pierwszą w wielkiej skali historyczną wojną był tzw. huragan ekspansji epoki karolińskiej. Karol Wielki, który w 800 roku przyjmując koronę cesarską z rąk papieża Leona III dał początek dziejom średniowiecznego Cesarstwa Rzymskiego — w dwudziestym roku panowania, po zdobyciu Akwitanii i Włoch, Saksonii, Hiszpanii, Bretanii i Bawarii, spustoszył również ogniem i mieczem kraj nadodrzański. Czy przekroczył Odrę — nie wiemy. Jego biograf, Einhard, pisał, że wszystkie narody między Renem a Wisłą płaciły mu trybut.

Tak więc w stuleciu poprzedzającym panowanie Mieszka I i w okresie jego panowania Europa była widownią gwałtownych przemian politycznych. Historię Niemiec zapoczątkował książę Frankonii Konrad I, który — koronując się w 911 roku na króla — połączył w jedno państwo Sasów, Fryzów, Szwabów, Bawarów, Turyngów i Franków. Ale podbój Słowiańszczyzny połabskiej zapoczątkował niemiecki król Henryk Ptasznik. Sascy najeźdźcy często próbowali swoich sił w walkach z krajami słowiańskimi.

W 929 roku wybuchł pamiętny bunt ujarzmionych przez Sasów Obodrzyców, Wieletów, Hawelan, Czechów, Redarów i Głomaczów, który zakończył sie tragedią pod Łączną. W 955 roku w bitwie z wojskami Ottona połączone wojska obodrzycko-wieleckie ponoszą wielką klęskę nad rzeką Rzeknicą. W 963 roku w bezlitosnym pogromie ulegają Łużyczanie.

W okresie podboju Słowiańszczyzny połabskiej Obodrzyci, Wieleci i Łużyczanie znaleźli się w granicach Niemiec. Król ustanowił nad nimi sławnego pogromcę Słowian — Gerona. To właśnie on zrealizował pomysł, który stanowi najczarniejszą kartę w dziejach dyplomacji niemieckiej. Geron zaprosił na rozmowy pokojowe trzydziestu książąt słowiańskich, urządził dla nich ucztę i w nocy, gdy spali oszołomieni winem, wszystkich wymordował.

Odtąd Sasi byli również naszymi zachodnimi sąsiadami i próbowali swoich sił także po prawej stronie Odry — na ziemiach pomorskich. Głównie jednak wywarli złowieszczy wpływ na polityczne losy słowiańskiej ziemi za Odrą. Przechodziły jednak dzierżawy polskie i za tę rzekę, sięgając prawie do Łaby (według relacji opata korbejskiego). Nie ma jednak wiadomości historycznych, że Polska była krajem wieloplemiennym.

Zajmujac się dalszymi losami zachodniosłowiańskiego plemienia Szprewian (pochodzenia łużyckiego) godzi się nadmienić, że w połowie XII wieku ich ziemia została podbita ostatecznie przez Albrechta Niedźwiedzia, który utworzył Marchię Brandenburska — bazę dalszych podbojów ziem słowiańskich (tzw. Marchia Nowa). Od 1486 roku Berlin stał sie rezydencją elektorów Brandenburgii. (Poprzednio dawna słowiańska Brenna była głównym ośrodkiem Brandenburgii. Dopiero po 1486 roku Brenna straciła znaczenie na rzecz Berlina. W 1709 roku Berlin stał się stolicą królestwa pruskiego.

Dla nas faktem o nieprzemijającym znaczeniu pozostaje marcowa demonstracja w Berlinie w 1848 roku. Król Fryderyk Wilhelm idąc na ustępstwa wycofał wojska z Berlina i ogłosił amnestie dla więźniów politycznych. 20 marca 1848 roku berlińczycy wynosili na rękach uwięzionych Polaków — między innymi Mierosławskiego i utworzyli Gwardię Obywatelską. Entuzjazm ogarnął głównie miasto Poznań na wieść o wypadkach berlińskich. Ukonstytuował się Komitet Narodowy Polski, który w odezwie do Niemców wzywał ich do zgody i współpracy. Polacy przystąpili do przejmowania władzy w Wielkim Księstwie Poznańskim, nie doczekali się jednak przewrotu.

Warto również wspomnieć o sukcesie wyborczym Polaków w 1907 roku. Wówczas wybrano do sejmu pruskiego pięciu posłów — Polaków, którzy wstąpili do Koła Polskiego w Berlinie.

W kwietniu 1917 roku wybuchł potężny strajk robotników w zakładach zbrojeniowych w Berlinie. Wśród 125 tys. strajkujących byli również Polacy, którzy przyczynili się także do wrzenia rewolucyjnego w 1918 roku.

Przed II wojną światową żyło w Berlinie około 100 tysięcy Polaków. Byli to w przeważającej mierze robotnicy fabryczni i rzemieślnicy. Tylko mały procent posiadał własne przedsiębiorstwa. W 1922 roku Polacy w Rzeszy poczęli się jednoczyć w jeden Związek pod nazwą: Związek Polaków w Niemczech. Organizacja naczelną dla Berlina i Ziem Połabskich stała się Dzielnica II Związku Polaków w Niemczech. E. Osmańczyk wspomniał w „Leksykonie Polactwa w Niemczech", że *trwanie w latach pogardy w pruskim hitlerowskim państwie było dla Polaków obywateli Rzeszy co najmniej trudne, o czym nie zawsze pamiętano w kraju wtedy i — dziś.*

Nasze zainteresowania Berlinem wzrosły przed zakończeniem II wojny światowej. 2 maja 1945 roku Berlin został zdobyty przez wojska radzieckie i polskie w wyniku tzw. operacji berlińskiej. 8 maja 1945 roku w Berlinie — Karlshorst podpisano akt o bezwarunkowej kapitulacji II Rzeszy. Następnie Berlin został okupowany przez 4 mocarstwa i podzielony na 4 sektory okupacyjne. W wyniku zachodniej reformy walutowej w czerwcu 1948 roku przestał funkcjonować czteromocarstwowy system okupacyjny Wielkiego Berlina i 30 listopada 1948 roku w radzieckim sektorze Berlina wybrano nowy magistrat z F. Ebertem jako burmistrzem. 7 października 1949 roku powstała Niemiecka Republika Demokratyczna i Berlin stał się jej stolicą oraz głównym ośrodkiem politycznym, gospodarczym i kulturalnym.

W 1955 roku Związek Radziecki przekazał Niemieckiej Republice Demokratycznej pełną suwerenność na obszarze swej byłej strefy okupacyjnej, jak i sektora okupacyjnego Berlina. 13 sierpnia 1961 roku rząd NRD przeprowadził granice państwa między NRD a Berlinem Zachodnim. Fakt ten stał się głównym czynnikiem politycznej stabilizacji w Europie, zapewnił bezpieczeństwo i gospodarczy rozwój NRD. ■

POLEMIKI

Nieczystego sumienia twórców - ciąg dalszy

Opublikowany w numerze styczniowym „Gryfa" 1/87 artykuł pt. „Nieczyste sumienie twórców" wzbudził dość szerokie zainteresowanie. Poniżej drukujemy tekst art. plastyka, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Plastyki, Mariana Zielińskiego oraz odpowiedź autora wspomnianego artykułu.

Postanowiłem skorzystać z tytułu Pańskiego artykułu, by odpowiedzieć na zawarty w nim paszkwil o sumieniu twórców naszego środowiska plastycznego.

Przede wszystkim zastanawiające jest, kto upoważnił Pana do pisania o etyce w dyscyplinie artystycznej zupełnie Panu nieznanej? Oto cytat z Pańskiego artykułu, który powinien Pana zniechęcić do napisania czegokolwiek o plastyce — jej problemach, nie wspominając o kwestiach moralnych, cyt.: **„kontakt żurnalistów z tymi środowiskami jest zdawkowy, okazjonalny, a ukazywanie problemów i sytuacji środowisk — powierzchowne".**

Natomiast Pański kontakt ze środowiskiem plastyków określę jaka ż a d e n, bowiem nie przypominam sobie, byśmy Pańską osobę gościli na naszych licznych zebraniach i spotkaniach — nie Z w i ą z k u — jak to Pan zaznaczył, gdyż takiego aktualnie nie mamy. Dla wyjaśnienia podaję, iż stanowimy pod tym względem ewenement w skali kraju — jako dwukrotnie zarejestrowany i rozwiązany Związek Artystów Plastyków. Raz — w roku 1983 — jako Związek Polskich Artystów Plastyków i ponownie w roku 1986 jako Związek Artystów Plastyków woj. słupskiego. Od chwili historycznego rozwiązania ZPAP istniejemy po dzień dzisiejszy pod szyldem Wojewódzkiej Rady Plastyki, zgłaszając w dalszym ciągu do organów wojewódzkich projekt o utworzeniu Stowarzyszenia Artystów Plastyków w naszym województwie (nowopowstałe związki branżowe mają swoją siedzibę w stolicy, która jest znacznie odległa od miejsca naszej społeczności artystycznej).

Na początku przyznam, iż ubawiło mnie Pańskie szczere wyznanie wiary, cyt. **„przyznam się, że również nie mam głowy do dotychczasowych dyskusji z plastykami, którzy — a jakże — pretensji do prasy mają niemało, często słusznych, tylko proszę powiedzieć, jeśli nie chcą dawać swoich prac, to cóż redakcje mogą począć?".**

Pytam — gdzie, kiedy, i z którymi plastykami tak Pan tracił głowę w dyskusjach?

Przypomnę Panu, iż będąc w Redakcji osobiście z kilkoma skreślonymi uwagami na temat miasta Słupska — rozmawialiśmy o prezentacji naszego środowiska poprzez formy graficzne i rysunkowe, oznajmiłem wówczas, iż zamierzamy wydać „Tekę Grafiki i Rysunku" i będzie możliwość korzystania z tych prac. **Prace te zostały zebrane w listopadzie i grudniu 1986, a obecnie Słupskie Zakłady Graficzne przygotowują ich wydanie.**

Gdzie było Pańskie s u m i e n i e, gdy zniknęła z pejzażu miasta piękna neogotycka wieża Straży Pożarnej, o której Panu sygnalizowałem? Kto jest odpowiedzialny za wydanie tak idiotycznej decyzji? Może Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków odpowie, iż nie miało w rejestrze tej wieży, która powstała równolegle z takimi gmachami neogotyckimi jak Prezydium Miejskiej Rady Narodowej czy gmach obecnej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wobec tego będę niecierpliwie czekał na rozbiórkę tych obiektów.

Pomińmy tę dygresję i czytajmy dalej — cyt. „(plastycy) są ponadto obojętni na programowanie kultury, bieżącą politykę upowszechniania, nie odpowiadają na propozycje organizowania własnych wystaw, a pojedyncze przypadki zgody należy traktować jako (...) wyjątki potwierdzające regułę".

Drogi Panie Pakulski, przypomnę Panu, iż od roku 1975 (powstanie woj. słupskiego) zarejestrowane są w annałach kultury regionu, kraju, oraz międzynarodowych działań plastycznych aż cztery plenery realizowane z inicjatywy naszych twórców, co przy tak nielicznym acz prężnym środowisku (aktualny stan — 33 osoby — w tym 21 osób zamieszkałych w Słupsku) jest bez wątpienia ewenementem w skali kraju.

Obecnie prowadzimy trzy ogólnopolskie i międzynarodowe plenery: Stare Gronowo — „Ceramika dla architektury", Krzynia — „Zapis plastyczny wskórze", Ustka — „M jak morze". W roku ubiegłym był także projekt reaktywowania miasteckiego Pleneru Młodych — z nową siedzibą w Postominie, niestety bariery finansowe nie pozwoliły na realizację tego projektu. Być może w dalszych latach jednak dojdzie do realizacji tego zamierzenia, które w sugestii władz wojewódzkich przyjęłoby charakter pleneru rzeźbiarskiego w drewnie — naturalnym bogactwie naszego regionu.

Wymienię tu Panu grupę artystów plastyków zaangażowanych i nieobojętnych na p r o g r a m o w a n i e i u p o w s z e c h n i a n i e k u l t u r y (przepraszam jednocześnie Kolegów, których przez zapomnienie nie wymieniam): Elżbieta Dudzik-Markiewicz, Janina Sawicka, Karolina Szymon-Piórkowska, Łucja Włodek, Ignacy Bogdanowicz, JAN FABICH, Krzysztof Grzesiak, Kazimierz Jałowczyk, Mirosław Jaruga, Zdzisław Kadziewicz, Jan Konarski, Witold Lubiniecki, Józef Markiewicz, Andrzej Mrozek, Jerzy Rosa, Jerzy Stroiński, Andrzej Szczepłocki, Andrzej Szulc, Stefan Wójcik, MARIAN ZIELIŃSKI, Roman Żołyniak. Czy liczba 21 wymienionych tu nazwisk — w stosunku do podanej wyżej liczby twórców środowiska nie jest zastanawiająca? Czy to ma utwierdzić nas w cyt. **„nonszalancji wobec potrzeb kultury regionu?"**

Tylko dyletant może proponować nam — jako środowisku twórczemu — by charakteryzowało się strukturą i wspólną estetyką g r u p y t w ó r c z e j!

Gdy idzie o dorobek artystyczny naszego środowiska **jest on szalenie bogaty,** w przeciwieństwie do Pańskiego stwierdzenia, iż na ogół plastycy „kiszą się" we własnym środowisku. **Czyżby z pamięci Pana uciekł znany fakt zainicjowania w 1986 Konkursu im. Witkacego w Słupsku, na który wpłynęło kilkadziesiąt prac z naszego środowiska (nie grupy), a poziom tych prac był w oczach jurorów bardzo wysoki — odsyłam Pana do protokółu jury.**

Dla pełnej jasności wymieniam Panu najważniejsze działania artystów plastyków tylko w latach 1985—1986. Wystawy indywidualne: Krystyna Łuka-Mróz, Janina Sawicka, Łucja Włodek, Irena Zahorska, Ignacy Bogdanowicz, Krzysztof Grzesiak, Mirosław Jaruga, Mieczysław Łażny, Andrzej Pawik, Andrzej Szulc, Andrzej Szczepłocki, Roman Żołyniak. Twórczość tych artystów a także tutaj nie wymienionych eksponowana była poza Słupskiem także w: Koszalinie, Lublinie, Radomiu, Poznaniu, Wałbrzychu, Wrocławiu, Warszawie i in., zaś wystawy zbiorowe w: NRD, ZSRR, Holandii, Czechosłowacji. Dalej, udział w wielu plenerach i konkursach ogólnopolskich i międzynarodowych wraz z przyznanymi nagrodami i wyróżnieniami. Wyliczanie ich i podawanie liczby uczestników byłoby zbyt pracochłonne, odsyłam więc Pana do statystyk środowiska plastycznego i Wojewódzkiego Wydziału Kultury. **Jeżeli uważa Pan to wszystko za „kiszenie się" we własnym środowisku, to radzę Panu zająć się „łowieniem ryb" na skwerze Starzyńskiego!** I jeszcze pytanie — co ma oznaczać następujący passus — cyt. „większość artystów ucieka w prace na zlecenie mecenasa religijnego. Malują kościoły...". Proszę wymienić mi tę większość. Po pierwsze — zarobkowanie artystów (i nie tylko) — jeżeli jest zgodne z prawem, nie powinno Pana obchodzić nic a nic! Po drugie — czy malarstwo sakralne jest czymś niegodnym artysty i różni się od malarstwa mecenatu świeckiego? Czym artysta malujący obiekty sakralne różni się od artysty malującego obiekty gmachów państwowych?? O takich różnicach osobiście nie słyszałem. Nie będę tu Panu przytaczał wielu znanych przykładów z obszaru sztuk zdobniczych naszej cywilizacji. I jeśli Pan łaskaw proszę o wskazanie źródeł a raczej strumieni, które tak obficie wg Pańskich informacji zasilają konto naszych Kolegów, może i ja z tego strumyka poczerpię. Ponoć żadna praca nie hańbi, tym bardziej zaś związana ze sztuką. A swoją drogą — kto Panu podsunął te wszystkie „cudowności", do których dochodzi jeszcze konserwacja prywatnych zbiorów sztuki. Czuj duch koledzy konserwatorzy z całej Polski — w Słupskiem mamy unikalne w skali światowej zbiory prywatne — więc dalej do dzieła!

Pisze Pan wreszcie, iż niewielu z Kolegów próbuje współpracy z teatrami. To dobrze — czy źle? Moim skromnym zdaniem współpraca czterech Kolegów z teatrami regionu i kraju (w ujęciu procentowym) świadczy o znacznym udziale naszego środowiska w tym zakresie działalności.

Możnaby tu jeszcze dodać wiele innych akcji — na rzecz budowy Szpitala Wojewódzkiego, Przychodni czy estetyki miasta.

W tej sytuacji — Pańska paszkwilancka, „okrutna" diagnoza o nieczystym sumieniu plastyków jest błędna — co oznacza mniej więcej tyle co zbędna, zaś pytanie o aktywność artystów plastyków wobec potrzeb kultury regionu — retoryczne. Hic et nunc — abstrakcyjne. **Postuluję więcej realizmu!**

Przypuszczem, iż sumienie pozwoli Panu na zamieszczenie w prasie (Gryf) tych kilku uwag antypaszkwilanckich. Bez skrótów.

P.S. Ostatecznie Panie red. Pakulski — chcąc pisać o środowisku artystów plastyków — należało przynajmniej raz z tym środowiskiem spotkać się!

Z poważaniem

Przewodniczący
Wojewódzkiej Rady Plastyki
art. plastyk MARIAN ZIELIŃSKI

OTRZYMUJĄ:
— Wydział Kultury i Sztuki U.W. Słupsk
— Redakcja „Zbliżeń" Słupsk
— Redakcja „Głosu Pomorza" Słupsk

Kulturalny artysta w kulturalnym społeczeństwie

Przyznam, że z zażenowaniem przeczytałem to, co napisał pan Marian Zieliński, ale styl to człowiek, więc nie ingerowaliśmy w tekst choć stylistyka, gramatyka i ortografia nie zawsze są w zgodzie z kanonami języka.

Artysta plastyk, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Plastyki uważa się za kulturalnego. Ma do tego prawo, choć pisze obraźliwie i mało elegancko.

No cóż, nasi Czytelnicy są lepszymi krytykami takich tekstów, sami ocenią.

Zastanawiam się dlaczego pan Marian Zieliński skierował swoją opinię aż do dwóch redakcji i Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oprócz „Gryfa", w którym był publikowany mój tekst. Ta metoda przypomina mi czasy, o których wolałbym zapomnieć. Wszystko to bardziej przypomina donos, niż polemikę.

Trudno mi jednak zniżyć się do poziomu zaproponowanego przez mojego adwersarza, o tym dyskusji być nie może. Chcę tylko, aby Czytelnicy zechcieli jeszcze raz przeczytać fragmenty mojego tekstu, z którego pan Marian Zieliński wyrywa fragmenty, przykrawając je do swoich myśli. Metoda ta jest dla niego oczywista i nie rani jego poczucia pewności człowieka kulturalnego.

Prócz tego pan Marian Zieliński kilkakrotnie mija się z prawdą, wie doskonale jak jest, ale udaje, że jest dobrze.

Na koniec rozśmieszył mnie zupełnie argument, że w pisaniu o publicznej działalności artystów muszę mieć upoważnienie od pana Mariana Zielińskiego.

Swoją drogą boleję, że jeszcze raz potwierdziła się zasada zawarta w przysłowiu: Uderz w stół — nożyce się odezwą.

WALDEMAR PAKULSKI

Nieczyste sumienie twórców

(fragment)

Wszyscy, którzy liczą, że jakoś to będzie — mylą się okrutnie. Sytuacja w kulturze, choć może komuś wydawać się niezła, bo powstały warunki, by rozkwitały wszystkie kwiaty, podmywana jest koniunkturalizmem i obojętnością twórców, schematyzmem i oportunizmem działaczy, byle jaką robotą pracowników domów kultury i klubów.

Ta diagnoza, na tyle okrutna, że ocierająca się o paszkwil jest niezbędna, by odsłonić kurtynę i w jasnym świetle ukazać sytuację, okoliczności oraz fakty, o których mówi się niechętnie, a próby odkrywania, że król jest nagi traktuje się jako zwyczajne krytykanctwo.

Spójrzmy więc bez sentymentów... na środowiska twórcze w naszym regionie. Najliczniejsi plastycy choć zrzeszają się w swoim związku, choć niektórzy z nich podejmują starania wyjścia na zewnątrz — na ogół, „kiszą się" we własnym środowisku. Większość artystów ucieka w prace na zlecenie mecenasa religijnego. Malują kościoły, zajmują się konserwacją prywatnych zbiorów sztuki, niewielu z nich próbuje współpracy z teatrami, nieliczni współpracują z rozmaitymi redakcjami.

Sytuacja ta wynika również z tego, że mecenas państwowy nie potrafi zaproponować na tyle atrakcyjnych zleceń, żeby pokonać poczucie wyobcowania. Nie mówiąc już o tym, że stypendia, które funduje nie wytrzymują konkurencji z strumieniem środków, które kieruje do niektórych artystów Kościół.

Na ogół twierdzi się, że oferta władz wobec tego środowiska jest bogata i wystarczająca. Jestem odmiennego zdania. Nie ma aktywnej, agresywnej polityki wobec tego środowiska. Owszem, są jałowe spotkania, na których wysłuchuje się często niezbornych pretensji artystów, nie podejmując nawet próby oczyszczenia przedpola, wyjaśnienia — czego rzeczywiście potrzebuje region, a że takie potrzeby są — to jest oczywiste.

W rezultacie artyści plastycy są przekonani, iż mają rację, utwierdzają się w nonszalancji wobec potrzeb kultury regionu, a niektórzy wykorzystują koniunkturalnie wyciągniętą rękę władzy, aby wytargować coś dla siebie indywidualnie, **nie zaś dla środowiska.**

Są ponadto obojętni na programowanie kultury, bieżącą politykę upowszechniania, nie odpowiadają na propozycje organizowania własnych wystaw, a pojedyncze przypadki zgody należy traktować jako... wyjątki potwierdzające regułę.

Ta krótkowzroczna obojętność plastyków, jako całego środowiska, jest ich najcięższym grzechem wobec kultury regionu. Ona się mści najbardziej w tym, że środowisko jest lekceważone, postrzegane doraźnie i wybiórczo. Przyznam się, że również nie mam głowy do dotychczasowych dyskusji z plastykami, którzy — a jakże — pretensji do prasy, mają niemało, często słusznych, tylko proszę powiedzieć, jeśli nie chcą dawać swoich prac, to cóż redakcje mogą począć? Wszystko to przypomina sytuację malkontenta, który ustawicznie prosi Pana Boga, aby mu pomógł wygrać w toto-lotka. Zdenerwowany Pan stworzenia prosi: człowieku daj mi szansę — zagraj choć raz.

Reasumując, gdyby ktoś zechciał zrobić wystawę ukazującą dorobek artystyczny naszego środowiska plastycznego miałby nie lada kłopot, faktycznie mógłby pokazać indywidualności twórcze, ale same w sobie — oddzielnie, trudno mówić, żeby to była grupa twórcza. Nie jest to oczywiście pretensja, ale faktyczna sytuacja, której, tak mi się wydaje, również środowisko plastyków winno stawić czoła. (...)

Z teki satyry Dariusza Pietrzaka



JD-J JERZY DĄBROWA-JANUSZEWSKI

✦✦✦

lustro pieszczotliwie drażni
Twoje wargi
więc z grymasem uśmiechu
pąsowiejesz wpatrzona bezwolna
w dalekie łąki falujące źrenicą

tafla szklista jeziora
ożyła oddechem
w jej drżeniu
coraz pośpieszniej odnajdujemy
nasze krajobrazy

milcząca
pozwalasz mi być lustrem
na poranne rozczesywanie snów
i wieczorne rozpoznawanie zmęczenia

✦✦✦

przerażona dziewczyna
boi się ptaków
zniżających lot
jakby w jej oczach ujrzały
gniazdo uwite z kwiatów
a przecież jej zapatrzenie
lotem jest
ku gwiazdom niezagasłym
na nieodkrytych szlakach

przerażona kobieta
boi się kochanka
który za długo patrzy
w jej oczy
uwite z kwiatów jesieni
a przecież jej zapatrzenie...

Ja i bukiet

wczoraj
zbierałem kwiaty na bukiet
najpiękniejsze
darowały mi babcie pod kościołem
bezbronnie uśmiechając się
wypłowiałymi oczami
których piękno pozostało
w tym geście

— układając bukiet pamiętaj
życie nie jest snem
miłość nie ma ceny
siebie daruj dziewczynie
a kwiaty mają być
przypomnieniem

dzisiaj też nie przyszłaś
więc czekamy
ja i bukiet

✦✦✦

radość i cierpienie —
jakbyś zapatrzona
w sklepienie najwspanialsze
architekutry nieba
musiała błagać Boga
o kawałek chleba
by dożyć upragnionej chwili
miłości bliźniego
gdy ból staje się radością
odnajdywaniem drogi
ku nieznanym przestrzeniom
a cierpienie
oczekiwaniem na przystankach
przed kolejną podróżą

radość
to podnoszenie upadłych obłoków
oczyszczonych z błota
gotowych do wspólnego lotu

REPORTAŻ

Przytulić się do mamy...



Gdyby ktoś chciał zabrać jej te dzieci, to chyba by mu oczy wydrapała.

Ani ona, ani jej mąż nie potrafią dzisiaj dokładnie sprecyzować, jakie motywy pokierowały nimi sześć lat temu. Dowiedzieli się wówczas, że można wziąć na wychowanie kilkoro dzieci z Domu Dziecka. Pani Barbara bała się trochę skutków decyzji o prowadzeniu rodzinnego domu dziecka. Naradzali się z mężem, powiedzieli o wszystkim swoim dzieciom. Mieli już wówczas jedenastoletnią córkę i pięcioletniego synka. Córka była więc na tyle dorosła, że jej opinia też się liczyła. Może właśnie jej spontaniczne podejście przeważyło szalę na „tak"... Ona wyobrażała sobie, że przygarną do siebie smutne, grzeczne dzieci, którymi będą się opiekować, a one będą im za to wdzięczne. Pani Barbara i jej mąż pochodzą z wielodzietnych rodzin. Jakoś cicho i pusto było im z dwójką własnych pociech.

Do domu dziecka wybrali się, żeby wziąć jakieś dziecko na święta. Ich dzieciaki nie mogły się już doczekać na gościa. Wybór padł na dziecko, które miało dwoje rodzeństwa. No i jak tu rozdzielać rodzeństwo... Dom dziecka opuściła, nie wiedząc jeszcze, że z przyszłymi Mamusią i Tatusiem, cała trójka. Szybko minęły święta w prawdziwym, rodzinnym domu. Kiedy goście odjeżdżali płakali nie tylko oni. Nie mogli przyjąć do siebie całej trójki na stałe, bo mieszkali w małym, ciasnym mieszkanku.

Pani Barbara jest działaczką TPD. Właśnie tam dowiedziała się, że jeśli założą tzw. rodzinny dom dziecka, to uzyskają większe mieszkanie, kilkadziesiąt złotych dziennie na wyżywienie i raz w roku kilka tysięcy na ubranie dla dzieci. Jeszcze wahali się. Mąż jest społecznikiem, więc może mu zabraknąć sił i czasu na pomoc w domu. Wątpliwości rozpierzchły się później. Udało mu się załatwić mieszkanie, które sam malował, postarał się o meble. Pomocy finansowej udzielił Wydział Oświaty Urzędu Miejskiego, Słupskie Fabryki Mebli. Sprawą zainteresował się wojewoda i też pomagał w załatwianiu spraw związanych z organizacją pierwszego w Słupsku rodzinnego domu dziecka.

Wreszcie poznane już wcześniej dzieci trafiły do ich domu — siedmio- i dziewięcioletnia dziewczynka oraz jedenastoletni chłopiec. Atmosfera ogniska domowego była im obca. Przyzwyczajone były wykonywać wszystko na komendę, o wyznaczonej godzinie. Pokoje nazywały salami. Krzysiu zredagował nawet regulamin, w którym zapisał, że jego obowiązkiem jest wyrzucanie śmieci. Zaszczepione miały już dziecięce cwaniactwo. Jeśli udało się im kogoś oszukać, przejechać autobusem bez skasowania biletu, to z tego najbardziej potrafiły się cieszyć. Nie rozumiały, dlaczego ich nowa Mama gniewa się z tego powodu. Z początku mówiły na panią Barbarę — ciocia. Szybciej przyzwyczaiły się nazywać dzieci pani Barbary siostrą i bratem.

Wkrótce okazało się, że życie w nowych warunkach to nie tylko przyjemne doznania, satysfakcja wynikająca z możliwości opiekowania się tymi dziećmi. Pewnie mąż pani Barbary i jej córka wierzyli, że nowi członkowie ich rodziny w pełni skorzystają z szansy innego ułożenia swojego życia w prawdziwym domu, że szybko staną się innymi ludźmi. Rzeczywistość ich nieco rozczarowała. Co innego pani Barbara — pedagog z kilkunastoletnim stażem. Zdawała sobie sprawę, że wychowanie dzieci dotkniętych przez los nie będzie łatwe. Na pewno takie nastawienie pomogło jej przetrwać pierwsze przykre doświadczenia, nie pozwoliło załamać się, zrezygnować.

Dzieci stopniowo przyzwyczajały się, że w ich nowym domu, w nowej rodzinie, nic nie odbywa się według regulaminów, takich jakie obowiązują w domu dziecka. Nie ma pobudki o siódmej rano. Nie pracuje się za karę. Kiedyś, na początku, Mama (tak nazywajmy dalej panią Barbarę) poprosiła jedno z nich o pomoc. Usłyszała odpowiedź — jak to, przecież ja nic nie zrobiłem? Długo musiała im tłumaczyć, że człowiek nie pracuje za karę. Stopniowo wdrażała ich do wykonywania prostszych czynności domowych, ciągle wpajała im, że robią to dlatego, żeby jej pomóc, ulżyć, że ona dużo więcej pracuje dla nich i to nie za karę, ale z własnej woli.

Dość długo nie potrafiły odnaleźć się w innym życiu. Nastawione konsumpcyjnie i trochę abstrakcyjnie. W domu dziecka miały kucharkę, krawcową, panią, która pomagała w lekcjach, pielęgniarkę. Dlatego czymś niezwyłym były dla nich nawet pierwsze samodzielne zakupy. Pewnego razu mama stwierdziła, że trzeba zabrać się za większe sprzątanie w domu. Wtedy zaczęły pytać, kto do nich przyjedzie. Widocznie były przyzwyczajone, że generalne porządki robi się z okazji czyichś wizyt czy może wizytacji. I ten schemat myślowy trzeba było przełamać.

Wkrótce ich rodzina powiększyła się jeszcze o troje dzieci, również z domu dziecka. Mama musiała zrezygnować z pracy w szkole i całkowicie poświęciła się wychowywaniu swoich domowych podopiecznych. Zgodziła się być kurą domową. Przygotowanie posiłków, pranie, to jej zajęcia prawie na cały dzień. Całe szczęście, że mąż wziął na siebie przygotowanie kolacji. Sam obiad bowiem rozciąga się na kilka godzin. Każde dziecko kończy zajęcia w szkole o innej porze, więc ściągają do domu od dwunastej do osiemnastej.

Najstarszy wychowanek, Michał już się usamodzielnił, niedawno skończył dziewiętnaście lat. Pracuje w odległym o kilkadziesiąt kilometrów zakładzie. Mieszka w hotelu robotniczym. Dopiero od kilku miesięcy, więc trudno powiedzieć, czy jest dobrym pracownikiem, ale raczej dobrze sobie radzi. A jeszcze niedawno mówił, że człowiek pracujący uczciwie to jest frajer, że najważniejsze jest w życiu, aby się nie wysilać, a mieć jak największy komfort. Z nim było chyba najtrudniej. Trafił do rodziny w wieku czternastu lat, stanowczo za późno. W wieku dojrzewania, z objawami choroby sierocej, z trzyletnim opóźnieniem w nauce. Z przyzwyczajeniami, które w tym wieku o wiele trudniej wyeliminować niż by to było kilka lat wcześniej. Na każde niepowodzenie reagował agresją. Mama stwierdziła, że jest emocjonalnie niezrównoważony. Kiedyś spokojnie chciała mu wytłumaczyć, że warto by było udać się do psychiatry, ale on żachnął się, że nie chce zrobić z niego wariata. Potrafił sprawić wiele przykrości, ale z drugiej strony lgnął do domu, bardzo potrzebował rodzinnego ciepła. Może bardziej jeszcze niż młodsze dzieci... Pewnie dlatego przesiadywał często z mamą w kuchni. Raz zdarzyło się mu zrzucić z kolan Mamy kilkuletnią Krysię. Był zazdrosny. Miał wtedy już siedemnaście lat. Najbardziej przeżywała to córka pani Barbary. Nauczona szacunku do rodziców nie mogła zrozumieć, że ten chłopak potrafi pyskować, wręcz wyzywać matkę, że potrafi nawet wynieść coś z domu. Przeżywała stresy. Chyba z tego powodu dostała wrzodów na żołądku.

A Michał się tym nie przejmował. Coraz gorzej było w szkole, uciekał na wagary. Po skończeniu szóstej klasy przenieśli go do szkoły uzawodowionej, gdzie uczył się zawodu ślusarza.

Mama nie chciała wywierać na nim większej presji. Można powiedzieć, uparła się być dla niego dobrą. Zdawała sobie sprawę z tego, że nadmierne karcenie może być przez niego wyolbrzymiane i przynosić odwrotne od zamierzonych skutki. Zresztą przerażała ją agresja tych dzieci wobec siebie nawzajem. Nie raz dochodziło między nimi do rękoczynów, a najmłodszy, sześciolatek, jeszcze nie przyzwyczajony do nowych warunków, kiedy mu inne dokuczy reaguje okrzykiem — chcesz kopa!? Mąż uważa, że w przypadku nieposłuszeństwa powinni być karani, na przykład, można zabronić oglądania ładnego filmu w TV. A mamę serce boli, kiedy widzi, że jest to bardzo przykre dla dziecka. Kiedyś pokłóciła się z mężem, bo uważała, że można zabronić obejrzenia jakiegoś mniej ciekawego programu, ale nie atrakcyjnego filmu, na który „syn" tak bardzo czekał. Wiedziała, że chłopak wolałby dostać lanie, byleby już było po wszystkim.

Mama uważa, że najważniejsze jest, aby wyprowadzić każde z nich na człowieka. Nie sztuka to, kiedy wybierze się z domu dziecką najlepsze, najładniejsze, najbardziej rozwinięte. Innym bardziej należy się pomoc. Chyba dlatego brali dzieci w ciemno, bez przebierania. Oczywiście, nierealne jest wychowanie geniusza z dziecka zapóźnionego w nauce czy w rozwoju. Dlatego mama wcale nie nastawia się na wychowanie idealnych ludzi, bez wad. Coś tam zawsze zostanie, jakieś piętno nieuchronne, ale ją cieszy każdy postęp. Pamięta kiedy Michał zaczął popalać papierosy. Kiedy chciała mu to wyperswadować, bronił się, tłumaczył, że robi tak jak jego koledzy. W końcu przemogła go argumentem, że przecież nie musi się do nich upodabniać, że nawet na złość im może nie palić. Udało się i to był dla niej sukces. Tak jak ukończenie przez Michała szkoły uzawodowionej też było osiągnięciem na miarę jego możliwości. Chociaż właściwie jej bardziej zależało na tym niż Michałowi. Teraz coś się w niej porusza, kiedy Michał mówi, że trochę szkoda, bo mógł jeszcze iść do zasadniczej szkoły zawodowej.

Michał zawsze chciał być samodzielny. Najpierw złościło go, że ma już osiemnaście lat, a mama nie pozwala mu wyjść późno wieczorem do kolegi. Jego ambicją było też wyjechać samodzielnie na biwak. Wypożyczyła mu namiot, dała pieniądze i powiedziała — jedź, jesteś już właściwie dorosły. Pojechał. Miało go nie być dwa tygodnie. Wrócił na drugi dzień. Stwierdził, że samemu jest nudno i lepiej być z rodziną.

Dzisiaj mama jest przekonana, że warto było znosić nawet upokorzenia po to, by z tego narwanego chłopaka wyrósł normalny człowiek. A Michał? Nie potrafi wysiedzieć w swoim hotelu i przyjeżdża do domu na każdą sobotę i niedzielę, a czasem nawet w środku tygodnia.

Mama wspomina też humorystyczne momenty. A to że jedno z nich było zdziwione, że musi nosić podkoszulkę, bo nigdy wcześniej jej nie nosiło. Albo takie wydarzenie. Na początku zapytane, gdzie idą potrafiły odpowiadać — to moja sprawa. Tłumaczyła im, że nawet tatuś, kiedy idzie na brydża, mówi, o której wróci, a jak mu coś wypadnie, zadzwoni, żeby się nikt w domu nie martwił. Pewnego dnia zadzwonił w domu telefon. To dzwoniła Jolka ze szkoły: Mamusiu, mamy jedną dodatkową lekcję, nie martwcie się, że się spóźnię...

Jakże inne są to dzieci po kilku latach spędzonych w normalnym domu, w rodzinie, gdzie jest Mama i Tatuś. Kilka dni temu „córeczka" pyta: — Mamusiu, kiedy ten mróz się skończy, bo trzeba by okna pomyć... Po to, żeby usłyszeć dzisiaj takie słowa mama musiała być przez kilka lat niemal służącą.

Każde dziecko to inny charakter. Trzeba by każdemu z osobna poświęcać trochę czasu, ale trudno sobie na to pozwolić w nawale domowych zajęć. Znakomitą okazją do takich indywidualnych kontaktów mógłby być spólny wyjazd, może na zimowisko czy jakieś wczasy. Wysyła się na takie dzieci alkoholików. Dlaczego by nie pomóc tej rodzinie...

■

Z trudem udało mi się nakłonić panią Barbarę na to spotkanie. Zapytała o zdanie dzieci, a one stwierdziły, że nie chcą być obserwowane jak zwierzęta w zoo. W końcu doszliśmy do porozumienia pod warunkiem, że oni pozostaną anonimowi. Dotrzymuję słowa. Imiona dzieci zostały zmienione. Dodam tylko, że jest to pierwszy i nadal jedyny rodzinny dom dziecka w Słupsku. Czy znajdzie naśladowców...

ZBIGNIEW MAJEROWSKI



DO KULTURY... KRĘTE ŚCIEŻKI

Przecież nikt nie ma obowiązku

Agnieszka. 26 lat. Absolwentka liceum ogólnokształcącego. Mężatka od siedmiu lat. Mąż, Michał — technik mechanik w jednym ze słupskich przedsiębiorstw. Dwoje dzieci (Piotr, lat 6 i Katarzyna, lat 3). Ostatnie tygodnie na urlopie wychowawczym. Zainteresowania oscylujące wokół humanistyki. Nie dowierza mi, że przemilczę jej personalia. Bezustannie przeprasza za konieczność ciągłego ruchu. To wina dzieci. *(Kasia, to istny diabeł wcielony).*

Jaka jest nasza kultura? Nie wiem. Wiem tylko to, co przeczytam na afiszach lub w gazecie. Wiem, że to głupio tak mówić, ale ja najzwyczajniej nie mam na to czasu.

W teatrze? Wiem, że grają „Antygonę". Premiera była w ubiegłym sezonie? I cóż mam panu odpowiedzieć? Że czas szybko leci? Naprawdę myślałam, że to było teraz. To nie żart!

Owszem, do kina chodzimy. Ostatni raz byłam na... taki tytuł z gliniarzem... Zapomniałam. Ale to było o takich zwariowanych przygodach czarnego policjanta. Bardzo dobra amerykańska komedia. Byliśmy razem z mężem. Ale... to też było sporo czasu temu. Nie, ja naprawdę nie potrafię powiedzieć niczego ciekawego. Czemu pan akurat na mnie się uparł?

Nie, tygodnia swojego panu nie opowiem, ponieważ on jest cały czas taki sam. To znaczy dni są do siebie bliźniaczo podobne. Chyba że sobota i niedziela. Wtedy trochę więcej czasu spędzam przed telewizorem. Mówi pan, życie towarzyskie. I tak, i nie. Jeżeli Michał kogoś zaprosi, albo do mnie wpadną znajomi... Wie pan, jak to jest. Pogada pan trtochę o dzieciach, trochę ponarzeka, czegoś się dowie o kłopotach innych... Wiem, że pan chciałby usłyszeć o jakiejś uczonej dyskusji... Nie wiem... Na przykład, o filozofii! Nie, nic z tego! Żadnych rozmów o sztuce! Właściwie tak! O sztuce przeżycia od pierwszego do pierwszego. O sztuce zdobycia czegoś, czego pozornie na rynku nie ma, ale co inni ludzie w domu mają nie wiadomo jakim sposobem... A tak właściwie to całe życie towarzyskie ogranicza się do wspólnego obejrzenia programu telewizyjnego. Niech się pan nie śmieje. To ma swoje dobrze strony. Przecież telewizja to

też kultura, a nie zawsze jest na nią czas. Chociaż wtedy! Zresztą, niech pan popatrzy! Gdzie tu jest miejsce na życie towarzyskie? To całe moje gospodarstwo. Ten pokój. Za ścianą rodzice. W pokoju obok młodszy brat. Dobrze, że bez żony... Nie, jest jeszcze kawalerem. Dzieci pan nigdzie nie wyprowadzi. Babcia? Owszem, zajmie się od czasu do czasu. Wtedy jednak trzeba coś zrobić z tych najpilniejszych prac, a jakich, to chyba pan wie...

Właściwie to mam takie swoje kulturalne życie. Zaczynam je od początku — od „zerówki". Przynajmniej tutaj jestem pewna, że cały czas będę się wspinała na wyższy poziom. Może kiedyś wrócę do recytacji? Już teraz uczymy się z Piotrusiem pierwszych zwrotek wierszy i piosenek. Później będzie trudniej ale i ciekawiej. A może chce pan posłuchać?

Nie odmawia pan ze względu na Piotrusia czy na mnie. Jeżeli chodzi o mnie, to nie musi pan być taki delikatny. Nie jestem już panienką.

Zaczynam wierzyć w sens prowadzenia tej rozmowy. Myślę, że upoważnia mnie do tego jej żart. Agnieszka była dotychczas wyraźnie speszona, chociaż wiedziała, o czym chcę z nią rozmawiać i zgodziła się na to. Wprawdzie przypadek sprawił, że — jak ona to mówi — uparłem się na nią, lecz nie jest przypadkiem jej codzienność. Mimo tego, że rozmowa się nie klei, a jej scenariusz coraz bardziej przypomina chaos myśli, chcę ją doprowadzić do końca. Do jakiego?

Mam wrażenie, że chce mi pan udowodnić, że jestem kurą domową i nie mam żadnych, poza domem, zainteresowań. Jeżeli tylko to, to nie pomylił się pan. Tak właśnie jest. Wie pan? To jest zwykła złośliwość. Pan wie, że interesowałam się kiedyś teatrem i literaturą... Pan wie, że muszę się zająć wychowaniem dzieci... Pan wie, że nie mam praktycznie czasu nawet na taką rozmowę, ale uparł się pan... A ja naprawdę tej kultury nie widzę. Gdyby była żywa i gdyby w ogóle była, to zmusiłaby mnie do wyjścia jej naprzeciw... Chwileczkę, coś za cicho jest w kuchni. Chyba Kasia znów siedzi w kubełku z koksem. Wie pan, że ona gryzie koks i połyka?

Głosy z kuchni są jednoznaczne. Tym razem Kasia postanowiła pomóc dziadkowi i wygarnąć popiół. Szczęście, że nie poparzyła się.

— Chciałam pomóc. Dziadek tak się męczy przy tej pracy...

Przyglądam się biblioteczce. Nic ciekawego. Mało tu zresztą miejsca na książki. Kilkanaście podstawowych tytułów ze spisu lektur szkolnych, kilka specjalistycznych poradników technicznych... Całkowity brak encyklopedii, słowników, leksykonów i... „W poszukiwaniu straconego czasu". Symbol? Śmieszne!

Przygląda się pan mojej biblioteczce? Nic ciekawego, prawda? Wie pan, co znaczy być rocznikiem sześćdziesiątym. W tej dziedzinie to tylko przypadek decyduje. Jeżeli nie ma pan szczęścia lub czasu na codzienne chodzenie od księgarni do księgarni, to niczego pan nie kupi. Niech mi pan powie, gdzie mogę wystać encyklopedię, słowniki albo historię literatury, to pójdę i stanę. Pan się uśmiecha?! No tak, pan to już na pewno ma. A co mają powiedzieć moi rówieśnicy? Ci, którzy tak jak ja pochodzą z rodziny, w której książka nigdy nie należała do artykułów pierwszej potrzeby, a kupowana była tylko wtedy, gdy była niezbędna? Biblioteki? Ależ ja nie umiem czytać na komendę, na czas! Ja na to czas muszę wygospodarować. Ja muszę kraść swój sen, żeby spędzić trochę czasu z książką. Czy ja mogę bez przerwy świecić oczyma z powodu nieterminowego zwrotu książki? Nie umiem! Wie pan, ostatnio czytałam „Cichy Don", bo to dostałam w księgarni. Długo to trwało. Czytałam ponad pół roku. Ale przeczytałam. Chciałabym przeczytać wiele innych rzeczy. No, niech mi pan powie, kiedy w takim tempie czytania przeczytałabym... na przykład, „W poszukiwaniu straconego czasu"? Prousta, dostałam przypadkiem. Nie przeczytałam ani jednej strony. Wyobraża sobie pan?! A pan chce, żebym poszła do teatru, kina lub obejrzała wystawę... To nie ja! I chyba żadna z kobiet w mojej sytuacji. Pomylił pan adres! Może mnie pan poczęstować papierosem?

Pan mówi, że potrzebne są człowiekowi chwile odprężenia przy ulubionej książce, audycji telewizyjnej. Ależ tak! Ja to również wiem. Tylko że dla mnie najwspanialszym odprężeniem jest sen. Niech pan nie myśli, że rodzice tak dużo mi pomogą. Prowadzimy dwa osobne domy. Oni też mają swoją pracę, swoje zmęczenie, swoją działkę i... nawet po południu mało czasu dla wnuków. Zresztą, niech pan spojrzy. Ojciec jeszcze w tej swojej narzędziowni, a matka jeszcze nie wróciła ze sklepu. Komu mam zostawić dzieci, żeby pójść do kina?

Programy telewizyjne? Może to śmieszne, ale zaczęłam się chyba cofać w rozwoju. Oglądam przede wszystkim „dobranocki", filmy o zwierzętach, a więc to wszystko, co oglądają dzieci. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie sprawia mi to przyjemności. Ja takie życie na swój sposób zaczęłam lubić. Może było mi o tyle łatwiej, że nie miałam zbyt wielu okazji do „balowania" na dyskotekach i różnych „fajfach". Myślę, że znacznie trudniej będzie przyzwyczaić się do tego współczesnym dziewczynom. A może się mylę? Owszem, oglądam filmy w telewizji. Bez specjalnego wybierania. Jak leci. Zdarza się nawet, że obejrzę do końca. Pan się śmieje? Zwyczajnie, usypiam ze zmęczenia. Tak naprawdę to staram się tylko wytrwać na telewizyjnych spektaklach Szekspira robionych przez Anglików.

Pan nie musi w to wszystko wierzyć. Tylko że ja nie mam powodu do kłamstw. Wiem, że wszyscy mówią o tak zwanych gospodyniach domowych jak o ludziach, którzy mają najwięcej czasu. Właściwie takie kobiety rzeczywiście powinny go mieć. Tylko że one siedzą w domu z konieczności, a nie z wyboru. Tych ostatnich jest bardzo mało. Wie pan, kiedyś czytałam bardzo często „Forum". To było bardzo dawno temu. W jednym z numerów wyczytałam o takich czasowych przedszkolach — chyba w Szwecji. One są przy kinach, teatrach. Nie wszędzie. To chyba taki eksperyment. Bardzo mi się to podobało. Niedawno słyszałam, że jeden z teatrów w Warszawie też ma coś takiego. A może by tak u nas?

Niech się pan nie martwi, tyle czasu bym znalazła. A przecież nie musiałoby to być tylko dla takich kur domowych jak ja. Muszę się przyznać, że nawet się przygotowałam do takiego teoretycznego mówienia o kulturze. Ale nic z tego nie wyszło.

Nie! Z całą pewnością jest potrzebna. Może nie takim ludziom jak ja? Chociaż... Nie wiem.

Wie pan? Ja patrzę na to wszystko w ten sposób: Jeżeli zatrudnia się ludzi, to muszą coś zrobić. A czy to jest potrzebne?! Mnie w tej chwili w minimalnym stopniu. Są jednak inni! Czy wszyscy ludzie muszą palić papierosy lub pić kawę? Niech mi pan powie. A jednak się to produkuje. Kultura, to w dzisiejszych czasach też taka swoista używka. Potrzebna nałogowcom. Dlaczego pan się śmieje?

Ponieważ tylko tych nałogowców nie trzeba leczyć!

JACEK KOWALEWSKI

TEATR

Rodzina

Kiedy po ukończeniu studiów wybierałem się do teatru, jeden z wytrawnych znawców etykiety, stary aktor udzielił mi kilkudziesięciu wskazówek co mam robić, jak się mam zachowywać, jakiego i kiedy używać uśmiechu, jak nisko i komu się kłaniać, czy stać, czy siedzieć, czy głośno się śmiać, bardzo dużo było tych ogólnych i szczegółowych wskazań. Ale chyba najważniejsze to z kim można zadrzeć, *otóż uważaj, na razie z nikim i to na żaden temat. Musisz dokładnie zbadać kto jest kto, to znaczy, jakie ma powiązania, bo widzisz obrazisz, wydawałoby się, bardzo malutką figurę, a lawina gotowa i w najlepszym razie po odsiedzeniu sezonu w najciemniejszym kącie bufetu będziesz musiał opuścić teatr. Nie dziw się, to jest prawo teatru i nie działa tu żadna zorganizowana mafia, a tylko zacne dostojne rody. Bo taka maleńka figura może być siostrzeńcem trochę większej figury, a ta z kolei siostrzenicą trzeciego męża jeszcze większej figury, która w obecnej chwili jest czwartą żoną największej figury.*

Wchodziłem do teatru spięty, powitał mnie sympatyczny, tęgawy, łysy portier, a ja zacząłem się zastanawiać, kto może być ojcem portiera, a może ciotką lub szwagierką i w tym momencie potknąłem się, kiedym nieubłaganie leciał na ziemię, zastanawiałem się czy wolno mi pisnąć, czy krzyknąć, czy zemdleć. Przed niechybną kompromitacją wybawiło mnie kolano niemłodej już Pani. Oparty o zacne kolano wpatrywałem się w Jej oczy i ze strachem stwierdziłem, że pojawiła się w nich pogarda, a więc jeżeli zaczną działać sznureczki rodowych powiązań nie dojdę nawet do gabinetu dyrektora. Rzeczywistość okazała się dużo sympatyczniejsza, w Teatrze Polskim we Wrocławiu powitano mnie bardzo serdecznie. Poznałem tu uroczą rodzinę teatralną Łozów, Mieczysław Łoza, charakterystyczny aktor, który w młodości był kolarzem i ścigał się na szosie z twórcą potęgi polskiego kolarstwa H. Łasakiem. Jego żona Halina Buyno znana z wielu filmów, chociażby z „Sami swoi". Janusz

Łoza, inspicjent, mąż suflerki Wandy Jasiukiewicz, siostry wybitnego aktora Stanisława Jasiukiewicza. Rodzina ta charakteryzowała się także tym, że podjeżdżała pod teatr rozklekotaną „petką” (P-70) i po tych hałasach cały Wrocław wiedział, że w „Polskim” zaczyna się próba.

Rodzina w teatrze to tradycja, o której teraz, niestety, już się zapomina, a aktorzy z przerażeniem uświadamiają sobie to, że ich dzieci mogą zarazić się tym najpotężniejszym z bakcyli. Z przerażeniem — może — ale jest to zewnętrzna demonstracja, w głębi duszy, marzę, ażeby moja córka była najwspanialszą aktorką, ażeby zniewoliła świat swoją grą, i żeby nie była drugą Modrzejewską, ale pierwszą, jedyną, niepowtarzalną. Wiele przecież jest zawodów przechodzących z ojca na syna. Wyrastanie w atmosferze szacunku dla zawodu, poszanowania pracy, uczenia się rzemiosła od kołyski. I tak było w aktorstwie, syn podpatrywał ojca, uczył się z gestów, poruszania się po scenie, naśladował interpretację, był razem, zawsze i przejmował po ojcu role, czasami cały teatr. Aktorzy skrzykiwali się, tworzyli trupy teatralne i wyruszali w świat od miasta do miasta, od rynku do rynku. Z tej grupy ludzi wyrastały wielkie rody aktorskie. Bogusławscy: Wojciech Bogusławski — Ojciec teatru polskiego, Rozalia Bogusławska — córka Wojciecha, Aniela Bogusławska — prawnuczka Wojciecha, Stanisław Bogusławski — syn Wojciecha, Teodor Bogusławski — również syn, dyrektor teatru, Władysław Bogusławski także syn — reżyser i tak mógłbym wymieniać i wymieniać... Wielki ród Trapszów. Aleksandra, Julianna z Ficzkowskich, pseudonim A. Milońska, żona Marcelego Trapszy, matka wielkiej polskiej aktorki Mieczysławy Ćwiklińskiej. Marceli Trapszo ojciec Mieczysławy, pseudonim Oszpart, aktor, reżyser, dyrektor teatru, był synem Anastazego Trapszy i Anny Eugenii z Ćwiklińskich, bratem Stanisława, Ireny i Tekli Trapszów, mężem Aleksandry potem Zofii Staszkowskiej, i tak dalej, i tak dalej... kilkadziesiąt nazwisk. Truskolascy, Królikowscy, Krzesińscy, Sochaczewscy, Rapaccy. Róża Rapacka, po mężu Bogucka, aktorka i śpiewaczka operowa, była matką znanego aktora i śpiewaka niedawno zmarłego Andrzeja Boguckiego. A jeszcze rody Stoblińskich, Żółkowskich — Alojzy Gonzaga Jazon Żółkowski wybitny aktor i reżyser, którego nazwisko złotymi zgłoskami wyryte jest w polskim teatrze. I jeszcze Siemaszkowie, Solscy i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze..., kilka tomów trzeba by było zapisać.

I w naszym teatrze pracuje przedstawicielka znakomitego rodu aktorskiego, który już w trzecim pokoleniu przekazuje swoje doświadczenia. Zofia Mayr jest córką Ottona Mayra, potomka austriackiego rodu Mayrów, który do Polski przywędrował z Lwowa, poprzednicy byli farmaceutami, prawnikami, ale student prawa Otton zakochał się w Teatrze i tu został. Pracował z Ludwikiem Solskim, czytałem wspaniałą, życzliwą dedykację Ludwika, który chwalił i cieszył się, że pracuje z Ottonem. Pracował także we Lwowie z niedawno zmarłą znakomitą aktorką Zuzą Łozińską. Po wojnie Otton tworzył teatr w Koszalinie i Słupsku. Tutaj zaczyna karierę Iga Mayr, piękna, zgrabna dziewczyna o ogromnych niesamowitych oczach. Pracowała w wielu polskich teatrach, ale już od dwudziestu kilku lat jest uwielbianą aktorką Wrocławia, chyba najbardziej utytułowaną, najczęściej nagradzaną, kochaną. Ponad 120 znaczących ról, trudno wyliczać, bo co sztuka to główna rola, niedawno transmitowano w telewizji „Transatlantyk” Gombrowicza. Iga grała tam męską przedziwną rolę. A z filmu — może pamiętają państwo Matkę Kobieli w „Człowieku z M-3” albo filmu Załuskiego „Zaraza” lub Żuławskiego „Diabeł” albo Nasfetera „Śnić we śnie”. Dużo tego było. Teraz Iga żyje przede wszystkim szkołą, jest profesorem Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Jest na pewno najbardziej ulubionym belfrem.

Oglądałem razem z Igą przedstawienie telewizyjne, grały tam dwie uczennice Igi, jak ona przeżywała ich występ, jak była stremowana, jak mocno zaciskała kciuki, i potem radość — dobrze dziewczyny to zrobiły, dobrze — łzy w oczach. Trudno takiej „mamy” nie kochać. Mężem Igi był nieżyjący już znany, popularny aktor i reżyser Zdzisław Karczewski. Pamiętny John z filmu „Sami swoi”.

Karczewski grał w wielu filmach przed wojną i po wojnie. „Czarne chmury”, „Ogniomistrz Kaleń”, „Czterej pancerni i pies” i ostatni jego film „Czerwone i złote” wzruszająca opowieść o starych ludziach. Był także dyrektorem teatru we Wrocławiu w latach pięćdziesiątych.

Debiutowałem w reżyserowanej przez Karczewskiego sztuce Pirandella „Henryk IV czyli żywa maska”. Iga, piękna, sympatyczna, pociągająca, urocza, wytwarzająca na próbach niezapomniany rodzinny nastrój. Zdzisław, frapująca osobowość, znakomity gawędziarz, wybitny artysta. Miałem szczęście zaczynać moją teatralną drogę w takim towarzystwie. Karczewski grał również główną rolę Henryka. Cóż to był za aktor, jaką niezrównaną posiadał technikę. Zagrać killkanaście ról pod jego okiem i można być niezłym aktorem. Takich fachmanów brakuje teraz w teatrach.

No i Erwin — maskotka całej rodziny. Ciotki przysięgały, że Erwin nie zostanie aktorem, że po ich trupie, że nie zezwolą. Ale to właśnie na przedstawieniach ciotek najczęściej przesiadywał Erwin. To ciotki dosyłały Erusiowi do szkoły pieniądze, jedzenie, wszystko. To ciotki ze zdenerwowania pokaleczyły sobie na przedstawieniu dyplomowym ręce. To z ciotkami Erwin najchętniej i najdłużej rozmawiał. Po skończeniu Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie Erwin Mayr zaangażował się do „Powszechnego” do Zygmunta Hubnera i miał szczęście, debiutował w dwuosobowej sztuce „Nawrócony” z Gustawem Lutkiewiczem. Lutkiewicz był zadowolony z partnera, a recenzent w „Teatrze” napisał, że narodziła nam się nowa indywidualność, że wspaniałe warunki, że wrażliwy. Erwin zaproszony został do Anglii, do angielskiego teatru, jest to niezwykłe, oczywiście, zna bardzo dobrze angielski, ale to za mało. Erwin studiował tam w szkole teatralnej prowadzonej przez wybitnego amerykańskiego aktora i reżysera Hendersona. A po ukończeniu jej na prośbę Hendersona prowadzili szkołę wspólnie. Erwin zaczyna grać w telewizji, w filmach, ale tęskni i przyjeżdża czasami do „Powszechnego”. Wielkim sukcesem Erwina jest to, że należy do Związku Zawodowego Aktorów angielskich, a dostać się do związku to rzecz trudna, ogromne rzesze aktorów, niestety, nie znajdują tu miejsca, co oznacza, że mają trudności w angażowaniu się do teatru, do filmu i telewizji. Erwin zadebiutował też jako reżyser, przygotowując „Tygrysa” Schisgala. Cieszę się tym, bo moim debiutem reżyserskim był również „Tygrys”, a Erwin będąc uczniem szkoły średniej często oglądał przedstawienie — może spodobało mu się... a może...

Absolutną głową rodu była niedawno zmarła Stanisława Mayr, to Ona siedząc w domu przeżywała każdą próbę, każdą premierę, to Ona niecierpliwie czekała, przygotowywała kanapki, wybiegała z szalem na ulicę, żeby dzieci nie zamarzły. To Ona się bała i cieszyła za wszystkich — to Ona była wyrocznią.

A... teraz po „korytarzu” biega, krzycząc, strzelając, nawołując czteroletni Arnold Mayr... zobaczymy.

Rodzina oddanych sobie, oddanych teatrowi ludzi. W marcu cała światowa rodzina aktorska obchodzi swoje święto, największym pragnieniem tej rodziny jest to, ażeby teatr był dobry, aby przekazywał dobro, ażeby uszlachetniał.

RYSZARD JAŚNIEWICZ

KONIECZNIE ZOBACZCIE

„Życia nie szukaj”

U schyłku roku Słupski Teatr Dramatyczny „zafundował” nam widowisko na swą miarę niezwykłe. Zresztą spektakl ów nie tylko w skali możliwości naszego teatru jest przedstawieniem nieprzeciętnym. Nie jest łatwo przecież wskrzesić poetów z firmamentu „przeklętych” w seansie teatru dobrego, oczekiwanego. „Życia nie szukaj” to sztuka powstała w oparciu o teksty Andrzeja Bursy, Ryszarda Milczewskiego-Bruno, Edwarda Stachury i Rafała Wojaczka.

Na małej scenie STD siedzą jako żywi czterej poeci, którzy już odeszli, a których literatura wciąż tętni, ciągle trafna, potrzebna i modna zaraża kolejne pokolenie.

Wzywani do głosu grą świateł mówią do widza słowami swej poezji. Z mroku tła wyławiają się Żywioły — chór deklamujący i śpiewający, płynie sugestywna muzyka, pojawia się Fatum ze swą pieśnią...

Spektakl nabiera tempa powoli, chyba — mimo wszystko — zbyt wolno. Z czasem "poeci przeklęci" odchodzą — zabiera ich śmierć, tak jak było w rzeczywistości. Z pewnością nie powiedzieli wszystkiego, co mieli do powiedzenia i nie uczynili tego, co mogli jeszcze uczynić. Nie umieli, czy nie chcieli się odnaleźć? Życia nie „znaleźli”, czy wcale nie „szukali”? Zmarli przedwcześnie, poza nieuleczalnie chorym Bursą — wszyscy śmiercią samobójczą. Tak więc pierwszy schodzi ze sceny A. Bursa (Jan Stryjniak), po nim R. Wojaczek (Jerzy Karnicki), dalej R. Milczewski-Bruno (Michał Świtała), wreszcie E. Stachura (Bogdan Kajak). Wzywa ich Fatum, w które wcieliła się śpiewająca z dużą fachowością Mirosława Kieniewicz. Na scenie zostają puste krzesła układane w „Białą lokomotywę” i zostają zawładnięci uczuciem grozy,

współczucia i zrozumienia widzowie — świadkowie agonii.

Fascynujący scenariusz widowiska dostarcza przy tym niezwykłych wrażeń. Jego autor posłużył się interesującymi rozwiązaniami i wytworzył na przykład, dialog między bohaterami przedstawienia ułożony ze strof ich poezji.

Twórcą tego misterium jest Wojciech Kopciński. Udowodnił on, że ma na scenie wiele do powiedzenia; i przedstawił niejeden tego dowód: kunszt reżyserski, zdolności dramaturgiczne, a także scenograficzne. Jest więc autorem wszystkiego, co na scenie widz ujrzy i usłyszy — oczywiście poza muzyką, która odegrała tu rolę niebagatelną, a którą skomponowali Marek Grechuta i Jerzy Satanowski oraz Jarosław Mądroszkiewicz i Zdzisław Pawiłojć.

Odbiorców nie po raz pierwszy goszczących w STD musi zaskoczyć dobra, ba! — chwilami świetna gra aktorów, w spektaklu trudnym, wymagającym dużego skupienia — wszak jest to poezja w dodatku niebanalna. Reżyser, autor scenariusza i scenografii — jak się zdaje — wydobył z aktorów pokłady faktycznych umiejętności, wyeliminował z ich gry złe nawyki, „odczarował" zaklęcie „teatru prowincjonalnego". Przypomina to „cudotworstwo" sprzed lat, jakim szczycił się w Słupsku Maciej Prus — legendarny już niemal, potrafiący właściwie wydobyć z aktorów grę najlepszą, zaś całkowicie ukryć ich niedouczenie i niedoświadczenie.

„Życia nie szukaj" to spektakl, który pozwala na niemal rewelacyjne odkrycie. Oto, na przykład, Bogdan Kajak poprzez dramatyczne wcielenie ujawnia zupełnie nowe oblicze swego aktorstwa. Mimo, że momentami przedziera się w grze tego raczej komediowego aktora ton — rzekłbym — mało dramatyczny, to jednak jest to dobra kreacja. Inny aktor — Jerzy Karnicki, prezentuje formę doskonałą; bardzo celnie oddaje trudną, „agresywną" poezję i niesamowicie oddziaływuje na widza. Pozostali aktorzy również — szczególnie Michał Świtała — jakby byli „na swoich miejscach" — ich grze nie wypada nic zarzucić. Przy tym wszyscy uczestnicy widowiska pokazali dobre przygotowanie wokalne, co znacznie wzbogaciło to naprawdę dobre przedstawienie.

Wreszcie jest więc Słupsk miejscem ciekawego wydarzenia artystycznego — i chwała autorom tej miłej niespodzianki na deskach STD.

PIOTR OSTROWSKI

Słupski Teatr Dramatyczny — mała scena: Wojciech Kopciński „Życia nie szukaj". Reżyseria — Wojciech Kopciński. Premiera — 30 listopada 1986 r.

NOTATNIK FILMOWY ● NOTATNIK FILMOWY

Poezja to odczuwanie świata

29 grudnia ubiegłego roku zmarł w Paryżu jeden z najwybitniejszych twórców kina współczesnego — Andrzej Tarkowski. Miał zaledwie 54 lata. Był synem Arseniusza Tarkowskiego, kontynuatora linii klasycznej w poezji rosyjskiej. Zajmował się geologią, później odbył studia filmowe na WGIK-u. Był uczniem Michaiła Romma, wybitnego reżysera i pedagoga, pełnego poszanowania dla cudzych poglądów, propagatora kina myślącego. Debiutował średniometrażowym filmem „Mały marzyciel" (1961) — liryczną opowieścią o perypetiach ucznia szkoły muzycznej. Był zwolennikiem kina poetyckiego. W jednym w wywiadów mówił: *Najbardziej pasjonuje mnie w filmie poezja i swoista logika. Mówiąc o poezji nie myślę wszakże w kategoriach gatunku. Poezja to dla mnie odczuwanie świata, szczególny rodzaj związków pomiędzy artystą a rzeczywistością. W takim rozumieniu poezja staje się filozofią nadającą bieg całemu życiu. To dzięki niej artysta potrafi dostrzec osobliwość struktury bytu, wyjść poza ramy prostej logiki faktów, lepiej wypowiedzieć specyfikę oraz istotę subtelnych przejawów życia, jego głębię i prawdę.*

W ciągu 25 lat zrealizował 8 filmów, każdy z nich był wydarzeniem artystycznym. w 1962 roku powstało „Dziecko wojny" — pierwszy pełnometrażowy film Tarkowskiego na motywach opowiadania Bogomiotowa, za który w Wenecji na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym otrzymał Główną Nagrodę „Złotego Lwa św. Marka". To jedna z najdonioślejszych wypowiedzi na temat wojny i jej moralnych skutków. Bohaterem filmu jest 12-letni Iwan — zwiadowca. Jest pełen nienawiści do wroga, czyni zemstę jedynym celem swego istnienia. Film burzy legendę o synach pułku. Jego bohater jest przedwcześnie dojrzałą, spustoszoną przez wojnę istotą. Wojna odebrała mu świat dziecięcych marzeń i radości, zmusiła do agresji, zniszczyła wiarę w życie i w człowieka. Jean Paul Sartre zwracał uwagę, iż film Tarkowskiego ukazuje dwuznaczność bohaterstwa, burzy pojęcie wojny sprawiedliwej. Wojna bowiem zabija wszystkich, nawet tych, którzy przeżyją.

Cztery lata później wchodzi na ekrany „Andriej Rublow" (nagroda Międzynarodowej Krytyki Filmowej na Festiwalu w Cannes w 1969 r.). Rzecz o wielkim malarzu ikon przełomu średniowiecza i renesansu i jego epoce. — *Interesuje mnie osobowość artysty* — mówił Tarkowski — *we wzajemnych relacjach z epoką, w jakiej tworzył. Artysta mocą swej naturalnej wrażliwości najgłębiej odczuwa swoją epokę i najpełniej ją odzwierciedla. Nie będzie to ani film historyczny, ani biograficzny. Zamierzam skupić się na procesie dojrzewania twórcy i jego obsobowości.*

Sekwencja otwierająca film — chłop wznoszący się nad ziemię prymitywnym balonem i za chwilę szczęścia płaci życiem — mówi o tęsknocie za lepszym, piękniejszym życiem. Ten motyw przewija się przez cały film, ukazujący Ruś wegetującą, prymitywną, pełną bezprawia książąt, przemocy, zabobonu. Na tym tle mamy portret Rublowa, obraz jego dojrzewania jako człowieka i artysty, realizującego postulat wspaniałej, trwałej sztuki, konflikt człowieka, który wyprzedził epokę.

W 1972 roku ukazuje się na ekranach „Solaris" na motywach powieści Stanisława Lema, za który otrzyma nagrodę specjalną jury na MFF w Cannes, Science-fiction, w którym nie ma techniki, ani prawdziwej futurologii, ani elementów wzmagających napięcie. W powieści Lema zafrapowała go zależność między postępem naukowym a moralnym przygotowaniem człowieka do nowego etapu rozwoju. — *Nie widzę żadnej różnicy* — mówił — *pomiędzy filmem fantastycznym, historycznym, współczesnym. Jeśli robi go prawdziwy artysta, to niezależnie od epoki, w jakiej przebiega akcja, problemy nurtujące twórcę stają się własnością dnia dzisiejszego.* „Solaris" — to próba odkrycia piękna Ziemi z perspektywy tych, którzy być może ostatecznie się z nią rozstali. Oddalając się od Ziemi człowiek nie zdołała uwolnić się od pytań moralnych. Jedyną szansą powodzenia przygody kosmicznej jest według Tarkowskiego uzmysłowienie sobie wzniosłości i piękna ziemskiej egzystencji.

Do tematyki fantastyki naukowej wróci w 1979 r. w „Stalkerze" opartym na powieści braci Strugackich „Piknik na skraju drogi". Ziemia w tym filmie jest dziwna, naznaczona piętnem przybyszów z kosmosu, którzy pozostawili niebezpieczną Strefę, w której zachodzą niezrozumiałe zjawiska fizyczne. Ludzie mimo zakazów, drutów kolczastych i wojska usiłują tam przeniknąć. Potajemnymi przewodnikami są Stalkerzy. Tarkowski pokazuje jedną z takich wypraw. Stalker prowadzi do Strefy pisarza i profesora. Pragnie w nich wzbudzić nadzieję, pragnie, by wyrzekli się egoizmu i obojętności. Strefa jest żywą, rozumną stotą, oddziałującą na bohaterów, wywołującą w nich potrzebę obrachunku z przeszłością.Dla twórcy istotny jest spór, jaki toczą uczestnicy wyprawy, spór o wartości, o sens życia. Strefa jest dla Stalkera ucieczką przed beznadzieją egzystencji, tylko on wierzy w nadzieję. Stalker — mówił Tarkowski: *to najlepsza część mnie samego. I najmniej realna.*

Pomiędzy „Solaris" a „Stalkerem" powstało „Zwierciadło" (1975) — najbardziej osobisty film artysty, film autotematyczny, próba powrotu w świat dzieciństwa. Utwór ma luźną budowę, realna rzeczywistość nakłada się na wspomnienia, majaki. Powstaje obraz gęsty od znaczeń. Artysta spogląda na siebie i epokę. Bohatera widzimy tylko w scenach z dzieciństwa, potem słyszymy tylko jego myśli wypowiadane spoza kadru. Jego oczami oglądamy los żony i matki (obie gra Małgorzata Tieriechowa). „Zwierciadło" to refleksja o sobie samym, o twórczości, pełna plastycznej urody, wieloznaczności, nostalgii.

„Nostalgia" to pierwszy zagraniczny film Tarkowskiego. Powstał we Włoszech, a jego premiera odbyła się w 1983 r. Otrzymał Grand Prix na 36 MFF w Cannes. Podobnie jak „Zwierciadło" to dzieło autobiograficzne, łączące epizody przeżywane i fragmenty wspomnień. Bohaterem jest Andrzej Gorczkow, który pisze biografię rosyjskiego kompozytora XVIII wieku Sosnowskiego i przyjeżdża do Włoch odbyć wędrówkę jego śladami. Odkrywa kogoś w rodzaju alter ego w Dominiku, toskańskim profesorze matematyki, uważanym za szaleńca, ponieważ wierzy, że świat osiąga swój kres. W wywiadzie przed premierą w Cannes Tarkowski tak mówił o filmie: *Już od dawna nosiłem się z zamiarem dokonania analizy stanu ducha i uczuć radzieckiego intelektualisty na obczyźnie(...) Po raz pierwszy w moim życiu po-*

czułem, do jakiego stopnia film sam w sobie może wyrazić psychologiczną sytuację autora. Dziwnym zbiegiem okoliczności, to co chciałem opowiedzieć, zbiegło się nieoczekiwanie ze stanami psychicznymi, jakich doznałem podczas mego pobytu we Włoszech, echem refleksji człowieka, który przed rokiem opuścił swoją ojczyznę.

„Nostalgia" wraz ze „Zwierciadłem" i „Stalkerem" tworzy tryptyk o duszy rosyjskiej.

W 1984 roku Tarkowski osiadł na stałe w Paryżu. Zdołał nakręcić jeszcze jeden film w koprodukcji szwedzko-francuskiej „Ofiarę". Kiedy kończył film był już śmiertelnie chory. O swoim filmie mówił: *Chciałem pokazać, że można znowu nawiązać do życia odbudowując przymierze z samym sobą, odnajdując duchowe źródło. I żeby zdobyć ów rodzaj autonomii moralnej — kiedy przestaje się cenić jedynie wartości materialne, kiedy wypada się ze statusu obiektu doświadczalnego w rękach społeczeństwa — jedną z możliwych dróg, między innymi, jest zdolność oddania się w ofierze.*

W trzeciej dekadzie lutego br. Dyskusyjny Klub Filmowy im. A. Bohdziewicza przy Sławieńskim Domu Kultury zorganizował przegląd filmów Andrzeja Tarkowskiego.

JAN SROKA

RECENZJA

„Dzieje Słupska"

Już po kilku tygodniach od wydania w roku 1981 „Historii Słupska" — dzieła 11 autorów pod redakcją Stanisława Gierszewskiego, miejscowe środowisko historyczne, skupione wokół Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego i Stacji Naukowej nurtowała konieczność wydania książki o przeszłości Słupska bardziej przystępnej. dla szerokiego odbiorcy. I po kilku latach udało się. Staraniem miejscowego Oddziału PTH i Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pobrzeże", przy poparciu władz miasta ukazały się na półkach księgarskich „Dzieje Słupska". Książka ukazuje dzieje miasta od czasów najdawniejszych, poprzez epokę feudalizmu i kapitalizmu, aż do czasów współczesnych (do roku 1980). Autorami niniejszej monografii są historycy słupscy związani z Instytutem Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Stacją Naukową PTH: Józef Lindmajer, Józef Spors, Teresa Machura oraz Bogdan Wachowiak z Poznania.

Podstawą materiałowo-konstrukcyjną do napisania „Dziejów Słupska" była wspomniana już „Historia Słupska". Książka liczy 425 stron i różni się od istniejących już w regionie, popularnych zarysów historii miast. Mam tu na uwadze „Dzieje Lęborka" (1982) i „Dzieje Ustki" (1985). Autorzy bowiem świadomie zrezygnowali z napisania niewielkiej objętościowo publikacji, unikając tym samym maksymalnego spłycenia i pominięcia strony interpretacyjno-wyjaśniającej.

Przyjmując koncepcję naukową, całkowicie pominięto aparat przypisów i innych odsyłaczy bezpośrednich. Nie mogę pominąć stwierdzenia odnotowanego we wstępie, że mimo zmniejszonej objętości autorzy chcieli zachować jak najwięcej wiedzy prostej o tym co i jak było, w całej pełni korzystając z ustaleń wszystkich autorów „Historii Słupska", traktując te osoby także jako niezastąpionych współautorów również i „Dziejów Słupska". I tak — pomijając własne dokonania — autor części I monografii (J. Spors) oparł się na materiałach z „Historii Słupska" napisanych przez Mariana Sikorę i Antoniego Czacharowskiego; autor części II (J. Lindmajer) na rozdziałach Zygmunta Szultki i Andrzeja Czarnika; autorka części III (T. Machura) na rozdziale napisanym przez Hieronima Rybickiego. Autor ostatniego rozdziału części I (B. Wachowiak) ujął swoje rozważania do okresu historycznego, który był także przedmiotem jego zainteresowań w „Historii Słupska".

W części I, zatytułowanej „Od czasów prahistorycznych do roku 1648" J. Spors wychodząc od etymologii nazwy Słupsk i podstawowej wiedzy o herbie miasta, scharakteryzował w rozdziale I starsze okresy dziejowe oraz omówił powstanie grodu i osady w Słupsku. Cenne wydają się być rozważania na temat herbu miasta. Autor uważa, że za herb historyczny Słupska należy uznać herb z półgryfem czerwonym a nie czerwono-zielonym. Winien on według najnowszych ustaleń przedstawiać w białym (srebrnym) polu pół czerwonego gryfa ze złotym dziobem i szponami, unoszącego się nad trzema falistymi, równoległymi, niebieskimi ramionami rzeki Słupi.

Rozdział II — „We wczesnofeudalnym księstwie sławieńsko-słupskim i gdańsko-pomorskim w XII—XIV w." zamyka się datą 1308 r. J. Spors oparł się przede wszystkim na własnych badaniach, ukazując powstanie feudalnego księstwa sławieńsko-słupskiego, jego chrystianizację i związki z Polską. Wykazał, że Słupsk był drugim po Gdańsku ośrodkiem politycznym i miejskim w księstwie wschodniopomorskim w latach 1236—1307.

W kolejnym rozdziale J. Spors przedstawił dzieje miasta w latach 1308—1478. Lokacja miasta przez Brandenburczyków w 1310 r., zatwierdzona i poszerzona w 1313 r. oznaczała w praktyce przeniesienie na prawo lubeckie istniejącej już od połowy XIII w. osady miejskiej.

Nastąpił też dwunastoletni okres panowania krzyżackiego (1329—1341) i powrót miasta do księstwa pomorskiego. Wyodrębnienie w 1372 r. księstwa słupskiego otwierało nowy etap w rozwoju miasta. Słupsk stał się ośrodkiem stołecznym i rezydencjalnym. Autor również zwrócił uwagę na zagadnienia narodowościowe podając, że średniowieczny patrycjat słupski wyróżniał się stosunkowo znacznym udziałem rodzin pochodzenia słowiańskiego (s. 105).

Rozdział IV — „W zjednoczonym księstwie pomorskim 1478—1648" opracował B. Wachowiak. Autor uwzględnił w nim posiadłości ziemskie Słupska, cechy, walki społeczno-religijne w mieście oraz problematykę narodowościową.

Część II pióra J. Lindmajera nosi tytuł „Trzy wieki niemieckiego panowania 1648—1945". W rozdziale I ukazał przemiany w systemie prawnym i ustrojowym, życie gospodarcze oraz problemy demograficzne. W tym okresie miasto było znaczącym ośrodkiem kulturalnym, a zwłaszcza oświatowym.

W rozdziale II — „Na peryferiach państwa prusko-niemieckiego 1807—1918" J. Lindmajer przedstawił wszechstronny rozwój miasta w tym tak ważnym dla Pomorza okresie. Wiele uwagi poświęcił walkom wojsk gen. Michała Sokolnickiego o Słupsk w 1807 r. Rok 1836 ożywił życie polityczne. Echa Wiosny Ludów dotarły również tutaj. Konsekwencją był rozwój ruchu robotniczego w regionie i początki wystąpień strajkowych. Na uwagę zasługują stosunki demograficzne oraz rozwój przemysłu. W tym czasie Słupsk był liczącym się ośrodkiem komunikacyjno-handlowym regionu. Istotną rolę w gospodarce miasta odgrywał port w Ustce.

Okres międzywojenny i drugą wojnę światową (1918—1945) omówił również J. Lindmajer. Wskazując na problemy demograficzne i gospodarcze miasta, stan oświaty i kultury, ukazał stosunki polityczno-społeczne w mieście w okresie walk rewolucyjnych 1918—1919, a następnie w dobie Republiki Weimarskiej i III Rzeszy. W Słupsku działały antypolskie organizacje rewizjonistyczne, których intensywna działalność przypada na koniec lat dwudziestych i lata trzydzieste. Z terenu powiatu słupskiego Niemcy podjęły agresywne działania przeciwko Polsce 1 września 1939 r. Słupsk stał się terenem obozów dla więźniów. M. in. 26 sierpnia 1944 r. założono jeden z podobozów dla więźniów z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Autor ukazał sytuację Polaków jako robotników przymusowych i ich martyrologię oraz dni ofensywy wyzwoleńczej, w wyniku której 9 marca 1945 r. Słupsk i Ustka zostały wyzwolone.

Dzieje Słupska w Polsce Ludowej (1945—1980) wyszły spod pióra T. Machury. Przedstawiono je w części III, w trzech rozdziałach.

Rozdział I — „Pierwsze dziesięciolecie w Polsce Ludowej (1945—1955)" przedstawia warunki powrotu miasta do Macierzy, powołanie i ukształtowanie się polskich władz administracyjnych. Ludność i osadnictwo, życie polityczno-społeczne to kolejne problemy przedstawione przez autorkę. Już w kwietniu 1945 r. na terenie Słupska działalność organizacyjną podjęła Polska Partia Robotnicza i Polska Partia Socjalistyczna. PPR była najsilniejszą partią polityczną w powiecie i województwie (po Szczecinie).

Kolejno T. Machura omówiła problemy odbudowy miasta i gospodarki, odbudowę przemysłu, handlu i usług oraz stan oświaty i kultury. Rozdział zamyka ochrona zdrowia i opieka społeczna oraz zapewnienie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Na uwagę zasługuje fakt, że już wówczas w Słupsku ukształtowało się liczne grono inteligencji, a miasto wykazywało duże ambicje zorganizowania własnego ośrodka zajmującego się sprawami wiedzy i nauki (s. 337).

Kolejny rozdział ukazuje rozwój Słupska w latach 1956—1975. Nosi on tytuł „Słupsk centrum regionu". Natomiast w spisie treści rozdział ten zatytułowano „Słupsk nowoczesnym centrum regionu". Który wybrać tytuł? Obstaję za pierwszym, gdyż drugi jest niezbyt precyzyjny. Mimo znacznego rozwoju przemysłu, oświaty, nauki i kultury w wielu dziedzinach nowoczesność ta nadal pozostawia wiele do życzenia.

Autorka przedstawiła dynamiczny rozwój miasta i jego coraz większe oddziaływanie na cały region. Słupsk w końcu lat sześćdziesiątych i w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych stał się centrum życia społeczno-gospodarczego w regionie.

Ostatni rozdział — „Słupsk stolicą nowego województwa" ukazuje rozwój miasta w latach 1975—1980.

Szkoda, że w prezentacji dziejów miasta w Polsce Ludowej T. Machura pominęła całkowicie od r. 1956 problemy ideologiczne i polityczne. To w poważnym stopniu zubaża przeszłość miasta.

Uzupełnienie książki stanowi 15 mapek i planów, 118 ilustracji czarno-białych w większości Jana Maziejuka oraz bibliografia. Celem uzupełnienia bibliografii podaję, że zabrakło w niej m. in. następujących tytułów:

Kapela W. A., Związek Młodzieży Polskiej w Słupsku w latach 1948—1956. „Koszalińskie Studia i Materiały" 1980, nr/1. Paluchowski J., Ruch ludowy na ziemi słupskiej przed zjednoczeniem.

„Koszalińskie Studia i Materiały" 1980, nr 1. Romanow Z., Ludność niemiecka w Słupsku 1945—1947. „Koszalińskie Studia i Materiały" 1981, nr 1.

Żurawski S., Związek Walki Młodych na ziemi słupskiej 1945—1948. „Koszalińskie Studia i Materiały" 1977, nr 4.

„Dzieje Słupska" stanowią ciekawą lekturę nie tylko dla profesjonalistów, ale dla wszystkich, którzy interesują się przeszłością miasta i regionu. Wyrażam przekonanie, że książka spełni poważną rolę w popularyzacji historii Słupska.

JERZY ROMANOWICZ

„Dzieje Słupska". Praca zbiorowa. Słupsk 1986. Nakład 10 000, cena 450 zł.

Z HISTORII MIAST POMORSKICH

Herb i pieczęcie miasta Człuchowa

WIKTOR ZYBAJŁO

We wczesnym średniowieczu Człuchów położony na południowych krańcach Pomorza Gdańskiego był jedną z osad w kasztelanii w Szczytnie, której mieszkańcy zajmowali się: rybołówstwem, myślistwem, hodowlą. Pierwsze wiadomości dotyczące tego okresu pochodzą z kroniki Tomasza Kantzowa pisanej w XVI wieku, z której wynika, iż na początku XII wieku w osadzie nad jeziorem osiedlili się uchodźcy znad Noteci. Kolejny przekaz dotyczący wczesnych dziejów Człuchowa to napis w kościele katolickim zbudowanym w XVII wieku mówiący, iż parafia katolicka powstała tu w roku 1209 — należy sądzić, iż zapis przeniesiony został tu z poprzedniego kościoła, wcześniej zbudowanego. Datę tę można uznać za wiarygodną, bowiem kościół w sąsiednich Chojnicach ufundowany został przez Sambora I już w roku 1205, a we wsi Swornegacie w roku 1272 był Klasztor Augustynów — wszystkie te miejscowości znajdowały się na terenie kasztelanii szczytnieńskiej.

Nie ulega wątpliwości, że na przełomie XII i XIII wieku przez Człuchów prowadził szlak handlowy i zapewne osada nad jeziorem była miejscem, w którym kupcy zagraniczni niejednokrotnie rozkładali swoje towary. Przybywali tu między innymi, również kupcy kijowscy, dowodem tego są znaleziska archeologiczne. Jak podaje w swej pracy ks. Władysław Łęga „Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk" wydanej w Toruniu w roku 1930 „... *W Człuchowie odnaleziono dwa groby, w których znajdowały się ozdoby: cztery kolczyki typu kijowskiego oraz branzoletka pleciona...*".

W okresie burzliwych dziejów Pomorza w początkach XIV wieku Krzyżacy podstępnie zdobywają Gdańsk, a następnie Pomorze Gdańskie. W wyniku stosowania różnorodnych nacisków zmuszają pomorskich możnowładców do sprzedaży im ziemi, prawdopodobnie tą drogą 4 września 1312 roku od ostatniego kasztelana Szczytna Mikołaja z Pońca za 250 grzywien srebra kupują Człuchów i Brodę (grzywna — średniowieczna jednostka wagowo-pieniężna o ciężarze około 210 g srebra wzorowana na jednostce karolińskiej — marka). Dokument kupna-sprzedaży Człuchowa przed I wojną światową znajdował się w archiwum w Królewcu. Czy przetrwał dwie wojny światowe, nie wiadomo. Na szczęście w roku 1903 wydawany w Toruniu „Rocznik Towarzystwa Naukowego" zamieścił kopię i dlatego wiadomość o tym dokumencie przetrwała do naszych czasów.

Krzyżacy po nabyciu Człuchowa postanowili pobudować tu warowny zamek, który przez wiele lat spełniał rolę wysuniętego bastionu Zakonu. Ocenia się, iż zamek budowany był w latach 1320—1367. W latach tych do osady położonej wśród jezior przybywało wielu ludzi związanych z budową warowni. Osada nabrała charakteru miejskiego, dlatego też w dokumencie lokacyjnym nadanym w czasach komtura człuchowskiego Jana von Barkenfelda przez wielkiego mistrza Zakonu Henryka Dusemera 9 czerwca 1348 roku wymieniana jest jako miasto. W dokumencie nadającym prawa mieszkańcom osady, nad którą dominowała wieża zamku mnichów-rycerzy czytamy: „*Wiedzieć mają wszyscy, co wiedzieć lub czytać będą list niniejszy, że my brat Henryk Dusemer, Wielki Mistrz braci szpitala P. Maryi domu niemieckiego w Jerozolimie, za radą i wolą naszych towarzyszów nadajemy i darujemy naszemu miastu Słuchów i jej obywatelom i mieszkańcom 42 włóki, które na prawie chełmińskim dziedzicznie i wiecznie posiadać mają w granicach, które tam wyznaczy komtur z braćmi naszymi. Z tych włók 42 ma mieć wolne proboszcz w mieście, pisarz ma też mieć 4 wolne włóki za wierne usługi, które nam i naszym braciom już oddał i oddać ma jeszcze w przyszłości. Wójt miejski posiadać ma także włók 5. Z sądownictwa w Słuchowie przypadać mają naszemu domowi w Słuchowie 2 części a trzecia wójtowi. Pisarz Mikołaj służyć ma nam z swych 4 włók podług możności, jeżeli wymagać tego będzie komtur i bracia. Wójt służyć powinien z swych 5 włók koniem wartości pięciu grzywien, pancerzem i rynsztunkiem, gdziekolwiek bądź i jak długo mu komtur i bracia rozkażą. Z reszty włók obywatele i mieszkańcy tego miasta uiszczać nam mają 12 szefli zboża z włóki, a mianowicie 4 szefle żyta, 4 szefle jęczmienia i 4 szefle owsa, tudzież z każdej włóki oddawać 2 kury rocznie na św. Marcina: z każdego gospodarstwa dać mają nam i naszemu domowi 6 fenygów rocznie na ten sam dzień. Tak samo nadajemy i darujemy mieszkańcom wymienionego miasta 10 włók na pastwiska, jednakże bracia nasi mają mieć (z nimi) wolne wspólne pastwisko, jeżeli potrzebować lub żądać tego będą. Również nadajemy i darujemy mieszkańcom wymienionego miasta włókę na ogrody i place, na których stodoły wystawiać mogli. Za to nam i domowi naszemu z każdej morgi winni dawać półtrzeciej kopy zwyczajnej monety na dzień wymieniony. Wyjątek stanowić mają 3 morgi jedna dla proboszcza jedna dla wójta i jedna dla pisarza Mikołaja, które do użytku wolne mieć mają. Chcemy, aby z łazienek, ław rzeźnickich, bud i wszelkiego czynszu, który już w mieście się pobiera i w przyszłości prowadzony być może, nam i naszemu domowi przypadły dwie części, a trzecia miastu, aby miasto się wzmogło. Ale wiecznego zatwierdzenia tych spraw przywieszamy do listu niniejszą pieczęć naszą. Wydano i zdziałano w Malborku w roku Pańskim 1348 (dnia 19/6). Świadkami są uczciwi mężowie nasi bracia Wynryk v. Knyprode wielki komtur, Herman Kudorfer najwyższy szpitalny, pan Medowig v. Wolkenburg najwyższy trapierz i inni uczciwi ludzie*".

Przedstawiony w całości dokument lokacyjny jest odpisem z zachowanej kopii, bowiem oryginał zaginął bezpowrotnie w nieznanych okolicznościach.

Z nadaniem praw miejskich miasto otrzymało prawo używania pieczęci z herbem. Pierwsza znana pieczęć Człuchowa pochodzi z XIV wieku i przedstawia łeb kozy z rogami (niektórzy dopatrują się tu głowy wołu) z napisem: S CIVITATIS SLOCHOW. Obok pieczęci miejskiej znana jest też pieczęć komturów człuchowskich z pierwszej połowy XV wieku, na której znajduje się wół leżący na ziemi, z głową w tył odwróconą i krzyżem zakonnym nad grzbietem. Herb ten ułożony jest na tarczy trójkątnej, a dookoła napis gotycki: S X TOMPTHUR NON SLUCHOW. Pieczęć ta wyciśnięta była na dokumentach krzyżackich z lat 1423, 1440 i 1452. Wynikałoby z tego, iż w okresie krzyżackim używana była słowiańska nazwa miasta Słuchów.

Nieporozumienie odnośnie do herbu Człuchowa z czasów krzyżackich wprowadził nasz wybitny dziejopisarz Jan Długosz, który przy opisie chorągwi krzyżackich zdobytych pod Grunwaldem przez wojska Władysława Jagiełły w roku 1410 napisał „... *Trzydziesta pierwsza chorągiew komturstwa i miasta Człuchowa mająca w górnej części wyobrażenie Baranka Bożego w polu czerwonym, który jedną nogą trzyma ponad sobą proporczyk biały, a z piersi sączyła się krew do kielicha, z drugiej dolnej tylko białe pole...*". Należy sądzić, iż zaszła tu pomyłka przy opisie chorągwi zdobytych pod Grunwaldem, których to opis Jan Długosz polecił sporządzić w roku 1448. Bowiem wszystkie przekazy historyczne przed i po tych wydarzeniach herb Człuchowa przedstawiają jako głowę kozy lub wołu. Natomiast herb przedstawiony przez Jana Długosza jako Człuchowa posiadała chorągiew biskupstwa warmińskiego z małymi zmianami.

Po wojnie trzynastoletniej Polski z Zakonem Krzyżackim w latach 1454—1466 Pomorze Gdańskie wraca do Polski. Człuchów staje się miastem królewskim, z komturii krzyżackiej utworzone starostwo, nadawane zasłużonym rodom pomorskim takim jak: Kościeleccy, Latalscy, Weiherowie, a później magnatom litewskim Radziwiłłom. Z tych czasów zachowało się wiele dokumentów, na których znajdują się odciski pieczęci, gdzie wyraźna jest głowa wołu z szyją, tak jak np. na pieczęci z roku 1649, na której znajduje się napis SIGILLUM CIVITATIS SLUCHOVIENSIS.

Na zamku człuchowskim znajdował się urząd starosty, którym kierował bardzo często podstarości — ponieważ starosta przebywał w swych majątkach rodowych lub za granicą. Do stemplowania dokumentów wydawanych na zamku używano pieczęci z napisem SIGILLUM CASTRI SCHOCHOVIENSIS, na której znajdował się orzeł z koroną. Pieczęć ta używana była w szczególności w sprawach sądowych — przy zatwierdzaniu działów po zmarłych poddanych starostwa. W nadawanych przywilejach starostowie używali własnych pieczęci herbowych, bardzo często okazałych, na wzór królewskich — znajdowały się na nich herby rodowe oraz posiadane tytuły.

W okresie Prus Królewskich sądy ziemskie w Człuchowie i Chojnicach używały pieczęci, na której znajdował się orzeł Polski z korona, jabłkiem i berłem, a wokół napis: STANISLAUS AUGUSTUS REX POLONIAE. Na piersi orła tarcza z Ciołkiem, to jest herbem ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Polski. Starostwo człuchowskie weszło w skład zaboru pruskiego, jego dobra prze-

jął rząd pruski. Prusacy zajęli zamek — zdjęto polskie orły, a na ich miejsce zawieszono drewniane tarcze z wymalowanymi czarnymi orłami. Miasto otrzymało nową pieczęć z napisem, SIEGEL DER STADT SCHLOCHOW, w okresie pruskiego panowania było ich kilka, na każdej orzeł pruski w górnej części, a pod nim godło miejskie, wszędzie inne, przedstawiające łeb woli, łeb sarny oraz wyraźnie krowi.

Poza pieczęciami państwowymi znane są pieczęcie człuchowskich kościołów z XIX wieku: katolickiego i ewangelickiego. Pieczęć kościoła katolickiego wyobrażała św. Jakuba i miała napis: SIGLLE ECCL AR PAROCH SCHLOCHOVIENSIS, natomiast pieczęć kościoła ewangelickiego wyobrażała serce, nad nim oko Opatrzności, a wokół napis: SIEGEL DER LUTHERISCHEN KIECHE IN SCHLOCHAU.

Konstanty Kościński w swym opracowaniu dotyczącym Człuchowa opublikowanym w 1906 roku podawał, że podczas penetrowania miejskiego archiwum w Człuchowie natrafił na kilka starych pieczęci miejskich. Co się z nimi stało w następnych latach — nie wiadomo. Można dopuścić dwie ewentualności: albo zostały zniszczone, być może przypadkowo, lub znajdują się w rękach kolekcjonerów — i może kiedyś ujrzą światło dzienne.

Obecnie herbem miasta Człuchowa jest głowa wołu z profilu na czerwonym tle. To znaczy, iż używany jest herb, który był godłem miasta w XVI—XVII wieku.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Długosz Jan. *Banderia Prutenorum wydał Karol Górski*. Warszawa 1958 Gumowski Marian. Najstarsze pieczęcie miast polskich XII i XIV w. Toruń 1960.

Gumowski Marian. *Pieczęcie i herby miast pomorskich*. Toruń 1939.

Łęga Władysław. *Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk*. Toruń 1930.

„Rocznik Towarzystwa Naukowego w Toruniu”. Rocznik trzynasty. Toruń 1906.

Z dziejów ziemi człuchowskiej. Praca zbiorowa pod red. Karola Ślaskiego. „Biblioteka Słupska” t. 7 Poznań-Słupsk 1967.

■

KRONIKA — 15 I — 14 II

■ Zakończyły się eliminacje szkolne 9 edycji Młodzieżowego Turnieju Wiedzy Filozoficznej TKKŚ. Uczestniczyło w nich 110 uczniów i uczennic z 15 szkół województwa słupskiego. Największym zainteresowaniem cieszył się temat: „Filozoficzne i moralne problemy pokoju i zagrożenia wojennego” — jeden z dwunastu do wyboru.

■ Ciekawie zapowiadają się propozycje Teatru „Stop”. Obok swoich występów teatr „Stop” proponuje słupszczanom udział w przedstawieniach: Akademii Ruchu, Teatru Studio z Warszawy, Sceny Plastycznej KUL z Lublina, Teatru „Blik” z Koszalina oraz londyńskiej grupy I Gelati. Wszystkie spektakle odbywać się będą w Ośrodku Teatralnym „Rondo” przy ul. Niedziałkowskiego.

■ Przez dwa tygodnie w lutym młodzież i dzieci szkolne odpoczywały na obozach, koloniach, półkoloniach. Sporo jednak pozostało w domu. Dla nich właśnie domy kultury, ośrodki kulturalne w terenie, kluby i niektóre szkoły przygotowały bogaty program imprez kulturalnych i sportowych. Świetnie bawili się np. młodzi sportowcy w Szkole Podstawowej nr 15 w Słupsku, w której odbywały się turnieje, konkursy, zabawy na śniegu. Zorganizowano również w pierwszym tygodniu ferii kuligi do Krępy i w Lasku Północnym oraz w nieznane. Każdy mógł dla siebie coś wybrać interesującego.

■ Niedawno rozstrzygnięto konkurs debiutów literackich ogłoszony przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury woj. słupskiego z siedzibą w Ustce. Pierwszej nagrody nie przyznano. Drugą otrzymała Lucyna Wyroślak z Ustki (godło „Fala”), dwie równorzędne trzecie nagrody — Elżbieta Lis z Gdańska (godło „Eljana”) i Anna Lebiedziewicz ze Słupska (godło „Kamila”). Ponadto przyznano pięć wyróżnień.

■ Laureatem nagrody miesięcznika „Pobrzeże” za wybitne osiągnięcia twórcze w roku 1986 został członek ZLP, mieszkaniec Słupska — Andrzej Turczyński. W ub. roku do obiegu czytelniczego weszło 5 jego nowych książek prozatorskich i poetyckich. Zyskały one przychylne opinie krytyki literackiej.

■ Do tradycji już należą audycje muzyczne dla dzieci i przedszkolaków organizowane przez Dębnicki Ośrodek Kultury. Przed młodymi słuchaczami występuje Słupska Orkiestra Kameralna i jej soliści. W lutym odbyły się dwie takie imprezy.

■ W gminach województwa słupskiego odbywają się przeglądy dorobku kulturalnego. M. in. w Czarnej Dąbrówce 14 lutego swoje osiągnięcia zaprezentowały sekcje, koła zainteresowań, zespoły artystyczne działające w szkołach i placówkach kulturalnych gminy.

OPRAC. JOLANTA ARSZYŃSKA

W MARCU ZAPRASZAJĄ

MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO
Słupsk, Dominikańska, tel. 240-81

Do 10 — muzeum nieczynne
— Sztuka Dawna Pomorza Środkowego (XIV—XVIII wiek)
— Skarby Książąt Pomorskich
— St. I. Witkiewicz — Portrety

MŁYN ZAMKOWY

— zamknięty

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI
Słupsk, plac Armii Czerwonej, tel. 266-07

— „Vie Privée — Miss Polonia 86” fotoreportaż Jarosława Tarana z „Expressu Wieczornego”
— rysunki do filmu „Porwanie w Tiutiurlistanie”

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH
Słupsk, ul. Pawła Findera 3
Salon wystawowy w Baszcie Czarownic
ul. Francesco Nullo 13, tel. 262-46

— Malarstwo Mirosława Jarugi (od 5 marca)

PAŃSTWOWY TEATR LALKI „TĘCZA”
Słupsk, ul. Waryńskiego, tel. 239-35

— „Kogucik i słonecznik” — Kim Miszkow przekład Juliusz Wolski, reż. Adam Waśko, scenografia Krzysztof Grzesiak, muzyka Lucyna Waśko
— „Remus rycerz kaszubski” — Edward Mazurkiewicz, reż. Zofia Miklińska, scen. Rajmund Strzelecki, muzyka Wanda Dubanowicz

SŁUPSKI TEATR DRAMATYCZNY
Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 239-35

— „Zemsta” A. Fredro, reż. Ewa Bonacka-Daszewska, scen. Wł. Daszewski oprac. scen. Łucja Koszakowska, choreogr. W. Misiuro, oprac. muz. Jarosław Mądroszkiewicz
— „Ubu król” — Alfred Jarry, reż. Mieczysław Abramowicz, scen. Adam Kilian, muz. Jerzy Stachurski

SŁUPSKA ORKIESTRA KAMERALNA
Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 263-38

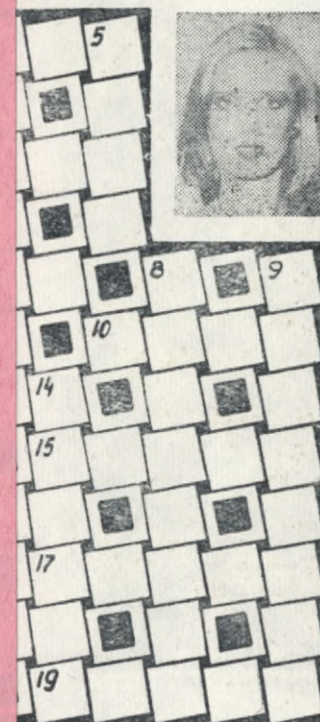
— 6 i 7 III — koncert z okazji Dnia Kobiet — soliści: Paulos Raptis, Danuta Mizgalska, Józef Wojdan.SOK dyryguje Bohdan Jarmołowicz
— 12, 13 III Kwartet Dęty z Wielkiej Orkiestry Symf. Radia i Telewizji w Katowicach, w programie: V. A. Mozart — Symfonia koncertowa s-dur

DUET KRZYŻÓWKOWY

II. POZIOMO: — 1) zbiera składki od członków; 6) zawody rozgrywane między trzema drużynami; 7) ramiączko; 10) do mierzenia stoperem; 11) zagłada, zniszczenie; 15) rura o małej średnicy; 16) dokumenty — potocznie; 17) nazwa, tytuł; 18) importowany owoc o kwaśnym miąższu; 19) najdłuższy dopływ Warty.

PIONOWO: — 2) miasto w Czechosłowacji; 3) spis alfabetyczny; 4) niestosowny postępek, uchybienie; 5) mały piecyk żelazny; 8) mężczyzna pełen wyszukanej grzeczności, galanterii; 9) ociężałość, gnuśność; 11) działa na zmysł powonienia; 12) brak zdolności, bierność; 13) chęć do jedzenia; 14) przeciwnik Ormuzda.

BUK



jął rząd pruski. Prusacy zajęli
zdjęto polskie orły, a na ich mi
wieszono drewniane tarcze z w
nymi czarnymi orłami. Miasto
nową pieczęć z napisem, SIEC
STADT SCHLOCHOW, w okre
kiego panowania było ich kilka,
dej orzeł pruski w górnej częś
nim godło miejskie, wszędzie inn
stawiające łeb woli, łeb sarny
raźnie krowi.

Poza pieczęciami państwowy
są pieczęcie człuchowskic
łów z XIX wieku: kato
ewangelickiego. Pieczęć kościoła
kiego wyobrażała św. Jakuba i
pis: SIGLLE ECCL AR PAROCH
CHOVIENSIS, natomiast pieczęć
ewangelickiego wyobrażała serce,
oko Opatrzności, a wokół napis:
DER LUTHERISCHEN KIEC
SCHLOCHAU.

Konstanty Kościński w swym
waniu dotyczącym Człuchowa
wanym w 1906 roku podawał, ż

KRONI

■ Zakończyły się eliminacje
9 edycji Młodzieżowego Turnieju
Filozoficznej TKKŚ. Uczestniczył
110 uczniów i uczennic z 15 szk
województwa słupskiego. Największ
teresowaniem cieszył się temat:
ficzne i moralne problemy pok
grożenia wojennego" — jeden z
stu do wyboru.

■ Ciekawie zapowiadają się p
Teatru „Stop". Obok swoich
teatr „Stop" proponuje słupszcz
dział w przedstawieniach: Akad
chu, Teatru Studio z Warszawy
Plastycznej KUL z Lublina, Teat
z Koszalina oraz londyńskiej gru
lati. Wszystkie spektakle odbywa
dą w Ośrodku Teatralnym „Ron
ul. Niedziałkowskiego.

■ Przez dwa tygodnie w lut
dzież i dzieci szkolne odpoczywa
bozach, koloniach, półkoloniach
jednak pozostało w domu. Dla n
nie domy kultury, ośrodki kultu
terenie, kluby i niektóre szkoły
wały bogaty program imprez kul
i sportowych. Świetnie bawili się
dzi sportowcy w Szkole Pod
nr 15 w Słupsku, w której odby
turnieje, konkursy, zabawy n
Zorganizowano również w pierw
godniu ferii kuligi do Krępy i
Północnym oraz w nieznane. Ka
dla siebie coś wybrać interesując

W MARCU ZAPRASZAJĄ

— 19, 20 III — SOK dyryguje Krzysztof Dziewiącki, solista — Dawid Pituch — saksofon

— 28 III — bajka dla dzieci „Jaś i Małgosia"

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY
Słupsk, ul. P. Findera 3, tel. 240-41

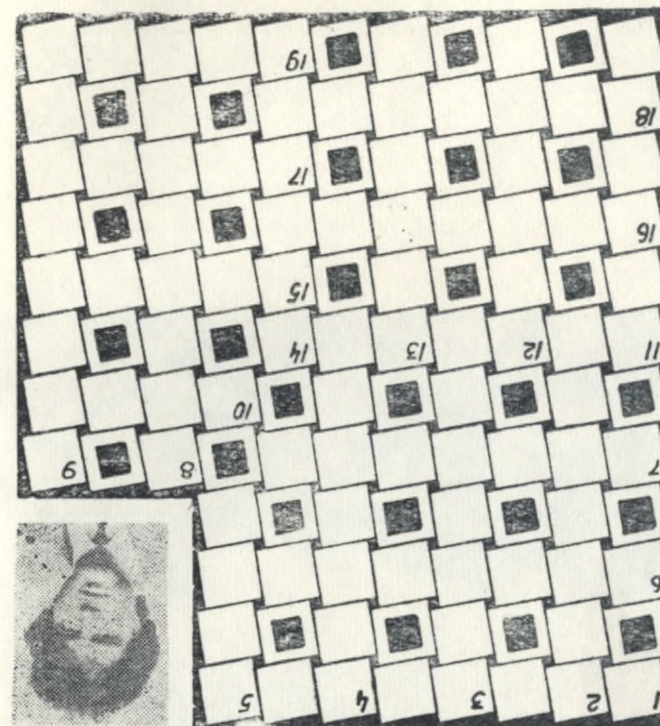
— 1 III eliminacje wojewódzkie Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radz. (w Człuchowie)

— Przegląd dorobku kulturalnego gminy Sycewice

— 20—22 III II Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej oraz II Spotkania Kapel i Śpiewaków Ludowych (Ośrodek Teatralny „Rondo" i placówki terenowe)

ROZWIĄZANIE DUETU KRZYŻÓWKOWEGO Z NRU 2:

I. POZIOMO: — Fryderyk, szponder, Świdwin, skat, trzepak, Sopot, golenie, nanos, światło, Niema (z Portici). PIONOWO: — roztwór, drożdże, rodzina, Kern, okopanie, statysta, tęgość, Zelnik, ponęta, ksenon. II. POZIOMO: — piosenka, atrament, Ermitaż, okno, Sarmata, rózga, wystawa, radni, sukmana, Troja. PIONOWO: — interna, stadium, nietakt, auto, skrzydło, Mona Lisa, Stwosz, Reszke, ananas, Ararat.

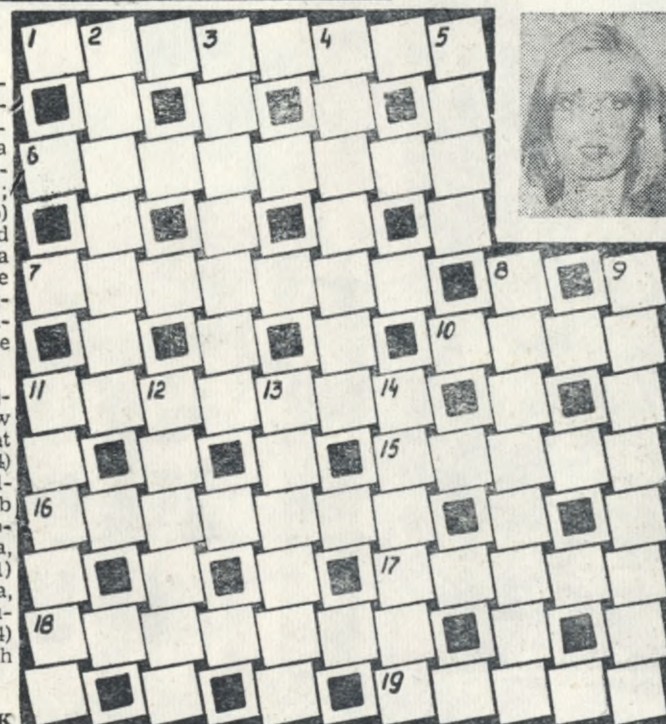


DUET KRZYŻÓWKOWY

II. POZIOMO: — 1) zbiera składki od członków; 6) zawody rozgrywane między trzema drużynami; 7) ramiączko; 10) do mierzenia stoperem; 11) zagłada, zniszczenie; 15) rura o małej średnicy; 16) dokumenty — potocznie; 17) nazwa, tytuł; 18) importowany owoc o kwaśnym miąższu; 19) najdłuższy dopływ Warty.

PIONOWO: — 2) miasto w Czechosłowacji; 3) spis alfabetyczny; 4) niestosowny postępek, uchybienie; 5) mały piecyk żelazny; 8) mężczyzna pełen wyszukanej grzeczności, galanterii; 9) ociężałość, gnuśność; 11) działa na zmysł powonienia; 12) brak zdolności, bierność; 13) chęć do jedzenia; 14) przeciwnik Ormuzda.

BUK



DUET KRZYŻÓWKOWY

I. POZIOMO: — 1) instrument Niccolo Paganiniego; 6) pierścionek ślubny; 7) uchodzi do Morza Barentsa; 10) słynna galeria malarstwa w Paryżu; 11) zasłona przenośna; 15) miejscowość z kopalnią rud miedzi „Konrad"; 16) muza pieśni lirycznej; 17) może być np. budżetowy; 18) najsłynniejszy spośród cymbalistów; 19) trudno dostępne miejsce w puszczy.

PIONOWO: — 2) przyjmuje kwiaty i życzenia w dniu 8 marca; 3) element do łączenia przewodów; 4) pauza; 5) bezwonny gaz palny; 8) dawna moneta lub medal o wartości zabytkowej; 9) możność dojścia, zbliżenia się do czegoś; 11) antonim prozy; 12) wprawa, biegłość nabyte przez długą praktykę; 13) rotor; 14) technika zdobienia złotych i srebrnych przedmiotów.

BUK

